Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena zł 1.20

W NUMERZE:

wieś

tygodnik społeczno-literacki

Rok X — Warszawa, dnia 23 sierpnia 1953 r. — Nr 34 (420)

DOJRZEWAJĄ JAK ŁANY LIPCOWYCH ZBÓŻ

Nieustannie napływają do nas listy chłopów z wielkiego pola bitwy o chleb. Na odwrotnej stronie starego kwitariusza, na okładkach zeszytowych, na zwykłej bibułce, odczytujemy przykłady wzmożonego wysiłku pomowskiego traktorzysty i chłopskiego żniwiarza.

Wśród wielu czynników mobilizujących masy chłopskie do sprawniejszego przeprowadzenia akcji żniwnej i skupu, odnajdujemy tego roku — nowy. Przyniosły go wypadki polityczne ostatnich dni.

W małej gromadzie Babice, leżącej wśród łagodnych wzgórz nad Sanem w powiecie przemyskim, chłopi napisali do nas w czasie przerwy obiadowej list. Kreślił go w imieniu gromady nasz korespondent Julian Rybczuk.

List z Babic dyktowała Rybczukowi gromada. Ludmiła Chołoniewska, przewodnicząca Koła Gospodyń, poruszona do głębi rozejmem w Korei, powiedziała: „Kruszy się już potęga bloku imperialistów w całym świecie; zbliża się czas, który przyniesie pokój całemu światu. Toczymy dziś w Polsce walkę z ciemnotą, zacofaniem i chuligaństwem; stajemy się narodem światłym. A naród światły — to jest słońce, a ciemny — to jest noc. Rządy, które depczą postępowe idee, przestają wierzyć w swoje siły, stają się podobne do człowieka, co sam sobie oczy wykłuje, a potem krzyczy, że nie ma słońca na świecie".

Rybczuk rzucił hasło przyśpieszenia dostaw zbożowych z racji sukcesu Obozu Pokoju — i oto 8 sierpnia, w piękny i skwarny dzień Babice manifestacyjnie dowiozły na punkt skupu 50 procent przypadającego im planu ziarna.

W tym samym czasie daleko od Babic, na północy kraju, umilkły na chwilę traktory przeorujące setki hektarów ziemi zespołu PGR-ów Ostrowiec powiatu Sławno. Poruszony do głębi przemówieniem Przewodniczącego Rady Ministrów ZSRR Malenkowa, robotnik rolny Franciszek Kluszczyński składał podanie o przyjęcie go w szeregi awangardy bojowników pokoju, w szeregi Partii. „Po raz pierwszy od kilku lat wyszedł spokojnie na pole nasz koreański brat. Po raz pierwszy spojrzały z uśmiechem w czyste niebo koreańskie matki. Niech się wsłuchają w ciszę nad polami walki, a dojdzie ich głos naszej pokojowej pracy".

Ludzie oderwali na chwilę spracowane ręce od maszyn i wygłaszali bez przygotowania wzruszające przemówienia. Traktorzysta z PGR Kusice, Benedykt Łutka, zobowiązał się trzykrotnie przekraczać normy dzienne. Za nim Andrzej Bacic z Lasek, Stanisław Szczygleńda z Komorowa, Anatol Więckiewicz z Bożenicy, Tadeusz Kowalczyk z Witosławia, Kępiński ze Smardzewa i wielu, wielu innych. A 6-go lipca odszedł do magazynu pierwszy transport ziarna przed terminem.

Nocą z 12-go na 13 sierpnia skreślił do nas list Piotr Doniec z gromady Dosłońce.

Doniec podjął zobowiązanie przedterminowej dostawy całego ziarna. Uczynił tak dlatego, że go porwała bohaterska walka narodu francuskiego przeciwko rządowi zdrady Laniela. Kilka dni z rzędu nie wychodził ze stodoły; 12-go zwoził ziarno do magazynu; późną nocą pisał do nas: „Podsumowując sytuację międzynarodową można wyczuć, że ten osławiony a barbarzyński pakt atlantycki zaczyna trzeszczeć w swoich posadach. Widzimy, że we Francji lud dojrzewa, jak łan zboża w lipcu. Już się szykują kosiarze, co przesłaną broń zza oceanu bez imperialistów wytopią i przeleją na traktory, pługi i lemiesze, aby uprawiać ziemię, która da plony kilkakrotnie wyższe aniżeli w ustroju imperialistycznym".

Indywidualne i zbiorowe listy chłopskie — cenny dokument żywo rejestrujący aktualną świadomość polityczną naszej wsi — pokazują, że chłopi wyszli w czasie tegorocznej bitwy o chleb daleko poza rodzinne opłotki, daleko poza macierzysty kraj. Tego roku stało się jasne, że rozumieją oni związek ich twardej i pokojowej pracy produkcyjnej z walką całej postępowej ludzkości o szczęście i pokój.

Jak łany lipcowych zbóż rok rocznie coraz bardziej dojrzewa sojusznik klasy robotniczej — pracujące chłopstwo.

Wiesław Jaždżyński

ZBIGNIEW ADAMOWSKI

DROGA DO ZWYCIĘSKIEJ BITWY

JAK wiadomo wielką poczytnością cieszą się na wsi powieści radzieckich pisarzy, przedstawiające okres II wojny światowej i zwycięskie boje Armii Radzieckiej z hordami hitlerowskich najeźdźców. Dla naszego czytelnika jedną z najbardziej pasjonujących w tych powieściach spraw jest sama strategia. Weźmy za przykład Beka „Szosę Wołokolamską" lub Fiodorowa — „Generała Dowatora". Zachwyt dla patriotyzmu, odwagi i poświęcenia radzieckich żołnierzy i oficerów nie da się w tych powieściach oddzielić i oderwać od geografii frontów, od mapy rozlokowania sił walczących, czyli od tego bogatego kontekstu, który nie tylko konkretyzuje postacie bohaterów, ale sam już stanowi dokument planu i przebiegu bitew w określonych rejonach i w określonym czasie.

Czytelnik ma możność rozeznania się w organizacji wielkiej machiny, jaką jest współczesna wojna. Poznaje ją w etapach czasu, żmudnych przygotowaniach, w geografii elementów, które muszą dojść w oznaczonym czasie i miejscu, aby rozstrzygnąć o zwycięstwie.

Przypomnieliśmy wojenne powieści radzieckie i entuzjazm, z jakim przyjmowane są one na polskiej wsi — tytułem wstępu do poniżej zamieszczonego artykułu Z. Adamowskiego. Pokazuje on organizację i strategię bitwy nie wojennej, lecz — pokojowej. Ale prawa strategii są tu podobne i nie mniej pasjonujące, nie mniej pouczające. Ludzie na wsi mają przybliżone wyobrażenie o organizacji fabryk. Domyślają się co to za skomplikowana potęga — nasze wielkie giganty i kombinaty. W czerwcu można było sobie uprzytomnić z gazet, jak bardzo Nowa Huta i jej budowa są powiązane z setkami wielkich fabryk w kraju. Jaka tu rozwija się wielka strategia zaopatrzenia w części konstrukcji i maszyn aż do najdrobniejszych detali. Ile załóg brygad, przodowników, planistów i konstruktorów bierze udział w walce o zwycięstwo w najkrótszym terminie, o zwycięstwo, któremu na imię Nowa Huta — największy obiekt w Europie.

Artykuł poniższy ukazuje drobną stosunkowo pozycję — POM w Środzie. Ale jedną z tych, które bezpośrednio wkraczają na wieś i których bitwy o chleb stają się coraz bardziej dla wszystkich pracujących chłopów wspólnym natarciem produkcyjnym, decydującym natarciem.

Artykuł ten jest ramowym sprawozdawczym szkicem, z którego literat mógłby stworzyć całą powieść. Ale artykuł pomoże czytelnikowi zrozumieć, w głównych zarysach strategię walki o chleb na jednym z najważniejszych frontów naszego rolnictwa. Ukazuje tę wielkość organizacji produkcyjnej, jaką wnosi socjalizm na wieś, jaka przebuduje nasze rolnictwo i wydobędzie z wiekowego zacofania.

REDAKCJA

MIESIĄC temu poprzez prasę centralną i lokalną województwa poznańskiego załoga POM Środa wezwała wszystkie POM-y w kraju do współzawodnictwa o tytuł najlepszego POM w tegorocznej akcji żniwno-omłotowej.

W uchwale załogi czytamy:

„W imię szczęścia i rozkwitu naszej ukochanej Ojczyzny, w odpowiedzi na wezwanie budowniczych huty im. Bolesława Bieruta w Częstochowie, zobowiązujemy się jak najsprawniej wykonać zadania kampanii żniwno-omłotowej w spółdzielniach produkcyjnych leżących na terenie naszego rejonu... W tym celu postanawiamy: ukończyć żniwa w 36 obsługiwanych przez nas spółdzielniach, przy zachowaniu pełnej zdolności technicznej i wysokiej sprawności organizacyjnej w przeciągu 11 roboczodni".

Wielu ludzi miasta i wsi, starych i młodych praktyków-rolników, myślało z powątpiewaniem: — „ukończyć żniwa w przeciągu 11 dni? Nie dadzą rady! Tak jeszcze nie bywało"... Podobnie myślało wielu spółdzielców i pomowców, choć się do tego nie przyznawali. A przecież załoga z aktywem długo i starannie obmyślała plan swojego działania. Wezwanie było już tylko podsumowaniem przygotowań i stać się miało potężnym bodźcem do jeszcze ofiarniejszej pracy, pozwalającej zcementować jedność załogi w walce o wykonanie i przekroczenie planu.

*

Droga do tego wezwania, długa i pełna sprzeczności, rozpoczęła się jesienią 1952 roku, kiedy ruch spółdzielczości produkcyjnej zaczął szybko posuwać się naprzód.

Ale za tym wzmożonym rozwojem spółdzielczości nie nadążał rozwój POM Środa, a zwłaszcza jego wyposażenie w niektóre maszyny, decydujące o powodzeniu w akcji żniwno-omłotowej.

Przodujący traktorzyści i brygadziści oraz dyrekcja POM zdawali sobie sprawę, że państwo, klasa robotnicza nie może dozbroić w tym okresie każdego POM aż do ostatniej śrubki, skoro w kraju powstaje wiele nowych POM-ów, skoro rozwija się coraz mocniej sieć GOM-ów i coraz więcej chłopów indywidualnych, a zwłaszcza biedoty nie posiadającej sprzężaju, wyrywa się z objęć „dobrego, poczciwego" sąsiada kułaka, szukając w GOM taniej, a technicznie dobrej i szybkiej pomocy.

Należało więc bez zwłoki zrewidować stare (nieraz już bite na głowę) normy techniczno - eksploatacyjne, ulepszyć organizację pracy brygad traktorowych i warsztatów remontowych — i dobrze przygotować sprzęt do akcji. W tym celu rozpoczęto systematyczną pracę polityczno - wyjaśniającą wśród członków załogi, aby skupić ją wokół tych kluczowych problemów dla średzkiego POM.

Układano tedy w licznych wariantach propozycje marszu, aż wspólnym wysiłkiem całej załogi zrodził się plan-dyrektywa.

Dyrektor POM tow. Bednarczyk — za sumienną i wydajną pracę awansowany z robotnika (kowala) na dyrektora — doskonale rozumiał, że w POM, jako typowym przedsiębiorstwie socjalistycznym, o wykonaniu planu, będą decydować dwa podstawowe czynniki:

1) **Technika** — tzn. dobrze wyremontowany i przygotowany na czas do pracy park maszynowo - traktorowy.

2) **Kadry** — które opanowały tę technikę i potrafią z niej wycisnąć wszystko, co ona dać może.

Dlatego też pierwsze uderzenie skierowano na warsztaty. I warsztaty nie zawiodły. W rekordowym czasie 4 miesięcy warsztaty wyremontowały 48 snopowiązałek, 16 agregatów młocarnianych, 28 kompletów podorykowych, skracając wyznaczony termin gotowości maszyn (25.VI) o 10 dni.

Nie małą rolę odegrało tu zainicjowanie przez tow. Saja jakościowe współzawodnictwo pracy, pod hasłem „Ja nie wypuszczę braku." Remont podjęty na indywidualną odpowiedzialność mechaników za stan maszyn przy wprowadzeniu do akcji i podczas pracy, uwieńczyły listy gwarancyjne.

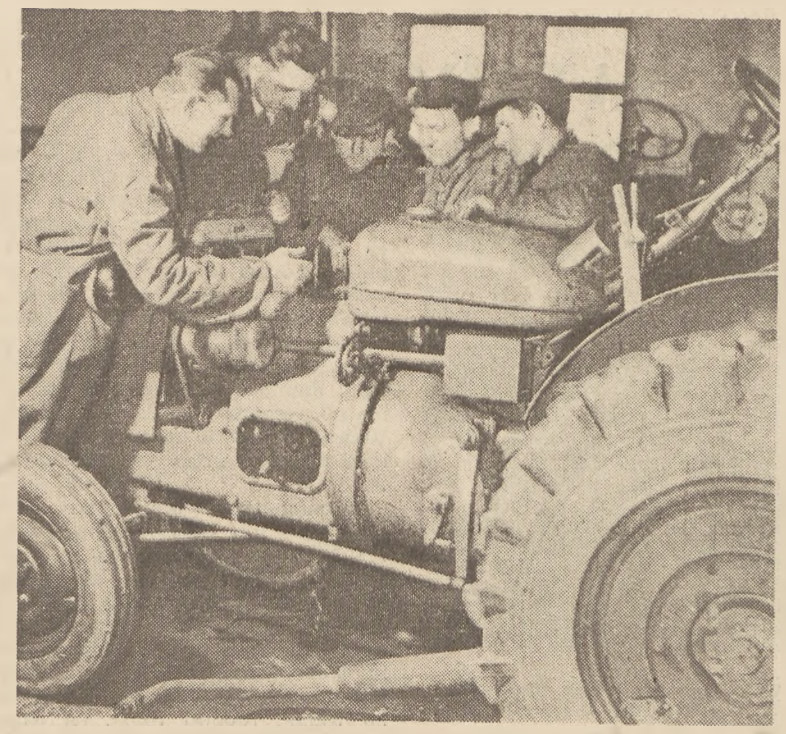
Zadanie jednak i teraz nie przestało być jeszcze bardzo trudne.

— Stary, wysłużony już park maszynowy, w którym mało było części zamiennych, a trochę tylko odnowionych i wykonaj tu plan uczciwie! — debatowali robotnicy.

Ale załoga nie opuściła rąk.

Ważniejszy stał się teraz silny rozwój racjonalizatorstwa i ulepszeń. Groziły przestoje snopowiązałek. Stąd znaczna strata czasu i materiałów. Psuły się płachty, których przymocowanie nitami, czy też nakrętkami było dotąd nietrwałe i pracochłonne. Wielu robotników zwracało się do starszego mechanika tow. Woźniaka z pytaniem: „Czy nie byłoby lepiej przymocowywać je skobelkami, warsztaty posiadają ich większą ilość bez żadnego zastosowania i przeznaczenia." Pomysł okazał się słuszny, ale również wymagał większego nakładu pracy. W realizacji prowadził znów do kompromisu. A na kompromis z czasem nie chciał pójść tow. Pawlak (narzędziowiec warsztatów). On to skonstruował bardzo prosty w użyciu, a niezawodny w działaniu tzw. wbijacz skobelków. Teraz wszystkie snopowiązałki poczęto szybko zaopatrywać w płachty tym sposobem umocowywane. Doskonale zdały egzamin w tegorocznej akcji żniwnej.

Na drodze walki o plan spotkano jeszcze wiele innych trudności, dzięki jednak dużej świadomości politycznej i niezłomnej woli wykonania i przekroczenia planów, pokonywano zaporę za zaporą, zator za zatorem.



Kierownik warsztatów POM w Środzie — Jan Woźniak, starszy mechanik — Jan Bednarczyk i brygada zetempowska uzgadniają prace związane z remontem traktora „Zetor"

*

Drugim zagadnieniem, na którym wydział polityczny i służba agronomiczna POM słusznie skoncentrowały uwagę, była młoda jeszcze, lecz już z dużym doświadczeniem kadra pomowska i spółdzielcza, a w szczególności brygady traktorowe POM i brygady polowe spółdzielni produkcyjnych, których wzajemna współpraca i pomoc zadecydować miały o terminach jakości wykonania pracy. Dlatego też jeszcze przed rozpoczęciem żniw przeprowadzono wiele wspólnych narad roboczych, doprowadzając plan strategiczny do indywidualnych harmonogramów prac dla każdej brygady do ustalenia szczegółowej marszruty przejazdów z pola na pole, kolejności podorywek i siewu poplonów, określając szczegółowo wzajemne obowiązki i odpowiedzialność obu brygad za wykonanie planu.



Przed gorącym okresem żniw załoga POM opracowywała z dokładnością co do jednej minuty plan wyjazdów na pola

Trzecim zadaniem było zapewnienie sprawnie działającego transportu, dowożącego sznurek i części zamienne do maszyn oraz mechaników i pracowników, kontrolujących przebieg żniw. W tym celu wydzielono samochód ciężarowy, obsługujący stale 13 brygad traktorowych w dzień i w nocy; w warsztatach wprowadzono nocne pogotowie, uruchomiono całą sieć łączności z brygadami, dyżury itd.

Czwartym zadaniem było zapewnienie stałej, sprawnie działającej sprawozdawczości brygad traktorowych i agronomów w celu zapewnienia zcentralizowanego kierownictwa ze strony dyrekcji POM-ów. Zaprowadzono więc codzienne i pięciodniowe raporty z brygad, oraz krótkie codzienne odprawy agronomów, wyjeżdżających w pole. Dla analizy położenia ciągników w terenie tow. Zielątkiewicz wykonał specjalną mapę strategiczną, na której zaznaczano każdorazową zmianę położenia każdego ciągnika w terenie, uzyskując przez to codzienną orientację rozmieszczenia parku traktorowo - maszynowego, bez czego niemożliwa byłaby planowa praca i prawidłowe kierownictwo.

Tak przygotowana załoga ruszyła do boju żniwnego w dniu 10.VII obejmując w pierwszym rzucie 9 spółdzielni produkcyjnych, a w dniu 13 rozpoczęto żniwa we wszystkich 36 spółdzielniach. Mimo, że zdolność eksploatacyjna parku traktorowo-maszynowego została znacznie przekroczona (około 30 proc.) załoga POM Środa zawarła jednak umowę na sprzęt (koszenie z wiązaniem i podorywki) 70 proc. ogólnego areału zbożowych w 36 spółdzielniach, zobowiązując się wykonać nadwyżki poprzez wprowadzenie części traktorów **na stałą, nocną zmianę.**

Mimo ciężkich warunków (wielka szachownica pól w nowozałożonych 19 spółdzielniach produkcyjnych) — większość traktorzystów zwycięsko walczyła o plan brygady, przekonując naocznie młodych spółdzielców, że tylko kolektywna, duża gospodarka rolna może w pełni wykorzystać dobrodziejstwa techniki.

Na przekór trudnym warunkom załoga skosiła do dnia 28 lipca — 100 proc. zbożowych, wykonując swoje zobowiązanie w przeciągu 10,5 dnia tj. na pół dnia przed terminem.

O ile załoga dokonała ogromnego wysiłku i poświęcenia w czasie koszenia zbóż, o tyle mniej baczną uwagę zwrócono na podorywki, których wykonano w 37 proc. i siew poplonów (32 proc.) mimo najbardziej sprzyjających warunków w bieżącym roku.

Mimo tego niemałego braku, załoga POM Środa wysunęła się zasłużenie i zdecydowanie na pierwsze miejsce w skali woj. poznańskiego, wykonując do 31 lipca plan kampanijny w 61 proc.

W pracy tej szczególnie wyróżniła się 6 brygada traktorowa tow. Bartkowiaka, wykonując swój plan w 111 proc. na 15 dni przed terminem. Uzyskała pierwszy proporczyk przodującej brygady POM Środa. Na drugie miejsce wybiła się współzawodnicząca z 6 brygadą, 7 brygada traktorowa, tow. Harłozińskiego, wykonując plan w 107 proc. W indywidualnym współzawodnictwie traktorzystów do tej pory przodują towarzysze Zaworski — 107 proc., Owczarek i Kubiak — 101 proc.

Te wielkie osiągnięcia całego POM jak i wielu przodujących brygad traktorowych, traktorzystów i spółdzielni produkcyjnych, które już całkowicie zakończyły żniwa, wykonują omłoty i realizują pierwsze dostawy dla państwa (w Pławcach, Zielnikach, Koszutach) nie mogą nam przesłonić faktu, że są też brygady traktorowe i traktorzyści, którzy nie wykonują swoich planów, jak np. 8 brygada lub 13 brygada tow. Celki.

Widać z tego, że podczas samej akcji za mało jeszcze dyrekcja, wydział polityczny i agronomowie analizowali przyczyny niedociągnięć planów dziennych i dekadowych, że komisja współzawodnictwa jeszcze za słabo upowszechniała przodujące metody pracy przodujących brygad i traktorzystów. A bitwa, trwająca 20—30 dni, to okres wielkiej nauki, zobowiązującej do natychmiastowych ulepszeń metod samej walki, do usprawnienia natarcia na różnych odcinkach. Wierzymy, że POM Środa, w wirze trwającej wciąż bitwy, zapewni jeszcze większą możliwość wykonania i przekroczenia planu, kiedy zaostrza się walka klasowa, zwiększają próby kułackiego sabotażu i dyskredytowania pracy brygad w spółdzielniach, kiedy sięga się do demontowania maszyn pomowskich (wykręcania części aby spowodować awarię), jak to miało miejsce dwukrotnie w spółdzielni produkcyjnej w Pieszchnie, lub rzucania zamaskowanych drutów w zbożach, którymi chcieli olszewscy kułacy zdezorganizować pracę brygady traktorowej tow. Lesińskiego w młodej, pełnej zapału spółdzielni olszewskiej.

Zbigniew Adamowski

IRENEUSZ GWIDON KAMIŃSKI

ŚWIT

Inny był całus rannej rosy
kiedyś, sieroto, w pole szedł boso,
by pańskie łany liczyć kosą —
zimny był całus rannej rosy.

Dziś czasem tamte lata wspomnij
gdy twój się w rosie kąpie ciągnik
z bezmiedzych pól zbierając plony.
Ty wtedy gorzkie lata wspomnij.

DEFEKT

Zachłysnął się motor, maszyną targnął,
stanął. Czy Piotr naprawi defekt?
Serce mu dudni maszyny echem —
naprawi?

Schodzi. Rozgrzaną stal wzrokiem ogarnie,
jak chirurg wedrze się w brzuch „Zetora".
Kurs skończył zaledwie przedwczoraj —
naprawi?

Przed nim droga brzemienna ziarnem:
nie zadrży ręka ujmując klucze.
Naszej epoki pojętny uczeń —
naprawił.

WŁADYSŁAW UDALSKI

KRONIKA DNI URODZAJNYCH

30 czerwca

W koło pola i. łąki — dalej las. W powietrzu czuć było chłód osiadającej rosy. Nim słońce zaszło, weszliśmy na wysokie wzgórze. Stąd już widać było szeroko rozrzucone zagrodami Dymki i gdzieś tam w dali — ojcowską chatę.

Tyle było kiedyś trosk, tyle kłopotów, nadziei i zmartwień, by dzieci wykształcić! Matka — pamiętam — latem, zimą, gdyśmy całą gromadką do szkoły w Lutotowie chodzili, wstawała wcześniej rano śniadanie zagrzać, a ojciec w śnieżne zawieje odwoził nas do miasteczka. Dziś wracamy podziękować im za trud. Mamy szkołę i zawód.

Na pozór nic się w tych Dymkach nie zmieniło. Te same chaty nie bogate, znajoma szachownica pól. Tylko kułaczka Kauzina zdążyła już „rozparcelować gospodarstwo".

1 lipca

Wstaliśmy późno.

— Musicie się teraz wyspać za wszystkie czasy — usprawiedliwiała nas matka. — Szkoła to nie zabawka.

W jej pojęciu trud umysłowy był zawsze czymś większym, niż najcięższa nawet praca fizyczna. Wczoraj dyskutowaliśmy długo w nocy o naszej przyszłości. Rodzeństwo dorosło, najmłodszemu Zenkowi minęło w maju 15 lat; Józek uczył się już rok w szkole podstawowej w Parcicach; a Marysia prowadziła ZMP na wsi i teraz w domu stale o spółdzielni rozprawia.

— A co, może Dymki ostatnie zostaną? — odezwała się od razu Marysia. — W Walichnowach już spółdzielnia, na kolonii Dobrosław spółdzielnia, w Niemojewie spółdzielnia, na Chojnach komitet założycielski — ze wszystkich stron nas okrążają. A nam wstyd! W zeszłym roku Dymki zdobyły radio w nagrodę za pierwsze miejsce w gminie w odstawie zboża, a teraz co? Na szarym końcu? Ale mama woli swój kierat od rana do nocy, jak niewolnica! Ani gdzie wyjść, ani rozerwać się — nic! Nawet do Łodzi, do synowej, nie może się mama wybrać.

Matka spojrzała na nas. Ostatnie słowa Marysi sprawiły jej przykrość. Wynikało bowiem, że matka jest ciemniaczka lub oporna. A kto z większą dumą podkreślał, że plany obowiązkowych dostaw dla państwa oni wykonali z nadwyżką?

W domu toczyła się walka.

2 lipca

Od rana przetarło się na pogodę. Kopiemy torf. Ojciec początkowo nie śmiał zapędzić nas do roboty: nie mogło mu się widocznie pomieścić w głowie, że „profesory" po wyższych szkołach mają się w błocie grzebać.

Wokoło pełno ludzi z Dymek i sąsiednich wsi. Chłopi korzystają z ostatnich dni przedżniwnych i pośpiesznie przygotowują opał na zimę. I tu jednak nie ma spokoju. Im silniej zmęczenie opanowywało mięśnie, tym ostrzejsze stawały się dyskusje.

Sprawa spółdzielni stanęła na porządku dziennym. Wielu nie było przekonanych o wyższości gospodarki zespołowej ale pasja, z jaką zainteresowani dyskutowali, kiedy wypytywali o szczegóły, świadczyła, że spółdzielnia spokoju nie daje.

Różni tu byli chłopi; przeważnie biedota, trochę średniaków. Dopiero po pewnym czasie zwróciłem uwagę na Szczepana Zakrętę, który w milczeniu przysłuchiwał się sporom. Na swoim siedmiohektarowym gospodarstwie pracował sam. Jednego syna ma w wojsku oficerem, drugi na inżyniera w Warszawie się uczy.

Zakręta, w obowiązkach sumienny, ze zbożem nie zwlóczył, ale ak-



tywnego udziału w życiu gromady, jak dotąd, nie brał. Nie brał też teraz udziału w dyskusji, mimo że go kilkakrotnie prowokowałem. Ale kiedy ktoś w ferworze stwierdził, że o spółdzielni nie ma co gadać, bo nikt tam nie był i nie wie jak jest, Zakręta przestał nagle miesić błoto i rąbnął z zapalczywością, jakiej się po nim nikt nie spodziewał:

— To nie nasza wina, żeśmy nigdzie nie pojechali, lecz Gminnej Rady, że nam wycieczki nie zorganizowała! — Potem już do samego południa nie odezwał się ani słowem; dopiero po obiedzie, kiedy sprawy wsi stanęły w toku rozważań, Zakręta znowu smagnął chłopów ironicznie:

— Żebyśta mniej gadali, a więcej robili, to by we wsi dawno remiza już była i sklep spółdzielczy...

W rzeczywistości też Zakręta do wieczora wyrobił swoją działkę torfu, podczas gdy innym na jutro jeszcze zostało.

4 lipca

Wieczorem byliśmy na zebraniu zetempowskim. W kole nie ma ani jednego chłopca. Jest w nim tylko osiem dziewcząt, w wieku od lat 15 do 18. Opowiadaliśmy im o Łodzi, fabrykach, wyższych uczelniach, o Planie 6-letnim. Słuchały z zaciekawieniem; o tych rzeczach tylko z gazet słyszały. Gdy skończyłem, 16-letnia Zenka Węgierska zaskoczyła mnie pytaniem, na które nie umiałem w pierwszej chwili odpowiedzieć:

— A dlaczego ani Dymki, ani inne wsie sąsiednie, nie mają swojego Planu 6-letniego? Swojego! — podkreśliła z uporem.

Wspomniałem coś o spółdzielni, ale to ich nie zadowoliło. Zasypały mnie pytaniami o to, jakimi drogami iść do spółdzielni?

— My rozumiemy — twierdziły. — Wspólna praca w organizacji przekonała nas o sile kolektywu, ale starsi? Jakim sposobem ich podprowadzić, jakie zadania powinna sobie postawić gromada, ot choćby w chwili bieżącej, w czwartym roku planu? My wiemy, że agitować teraz od chałupy do chałupy jeszcze nie można; baby miotłami przegonią. Trzeba najpierw zacząć od swoich rodziców. I to będzie punkt oparcia.

— My możemy pomóc w przeprowadzeniu żniw; możemy listy uznania posłać chłopom spełniającym rzetelnie swój obowiązek obywatelski; ale co gromada powinna zrobić, żeby zbliżyć się do spółdzielni?

— I dlaczego Gminna Rada w Lutotowie nie zatroszczy się o to? I w ogóle ta Rada jest nieodpowiedzialna. Mieliśmy klasyfikację ziemi przeprowadzić, bo w 1949 r. kułacka trójka sfałszowała faktyczny stan rzeczy i uderzyła biedniaków i średniaków, to przewodniczący Rady Zenon Kozłowski powiedział: — „Chłopy kochane, nie da rady!" A myśmy w tej sprawie napisały do Łodzi i rada się znalazła.

— A dlaczego w Radzie tylko sami z miasta, a Dymki i inne wsie nie mają przedstawicieli?

Zdumiewało u tych dziewcząt poczucie odpowiedzialności za gromadę. Do niedawna przecież żadna kobieta w Dymkach nie zajmowała się polityką, a one na zebraniach gromadzkich już głos zabierały, robiły politykę.

W latach 1947—50 dziewczęta w ich wieku szukają awansu życiowego poza rodzimą wsią, wyjeżdżają na Ziemie Odzyskane, do PGR-ów, te zaś po raz pierwszy dostrzegły możliwość „pójścia w górę" w rodzinnej wsi. Zdawały sobie sprawę, że o tę możliwość trzeba walczyć i pociągać rodziców na tę drogę.

5 lipca

Przed trzema laty urządzaliśmy w każdą niedzielę wielkie zawody piłki nożnej. Z połowy wsi schodzili się podrostki na ugór przy łąkach i graliśmy do upadłego.

W południe spotkaliśmy się z Mietkiem Cieślakiem.

Z dawnej naszej drużyny brat jego był szoferem we Wrocławiu, jeden zawędrował do Pafawagu, a dwaj inni byli już z rodzicami członkami spółdzielni produkcyjnych na zachodzie. Heniek Ratajski od roku pracował w PGR. Mietek Grzelak, Heniek Kołodziejczyk, Geniek Musialski — w wojsku w szkole oficerskiej, a Edek Matuszek w Hucie im. B. Bieruta w Częstochowie.

Pierwszą młodzież, która wyszła po wojnie z Dymek, wchłonęło gimnazjum w Lutotowie. Roczniki 1932, 33, 34, 35 rozsypały się po wielkich budowach Planu 6-letniego. W przeciwieństwie do dziewcząt z rocznika 1936 — 38 chłopcy szukali swoich dróg życiowych poza wsią. Ale też w większości pracowali już dla wsi.

Po południu zebraliśmy się przed zagrodą na drodze. Poschodzili się chłopi. Przystanął i Zużewicz — niedawny kierownik miejscowej zlewni mleka. Od razu też nieświadomie, ożywił rozmowę opowieścią o teściach, którzy na Ziemiach Odzyskanych już dwa lata temu wstąpili do spółdzielni. Nie tylko oni. Bekusy, Kaczmarki, Ostrycharze, Cieślaki... W świecie szybciej przejrzeli, i piszą, że się im dobrze powodzi. Tylko u nas jeszcze stojąca woda.

Zakrzyczeli go w pierwszej chwili: Białkowski, Wrzeszcz, Józef Cieślak, Kowal, Stefan Wyglądacz.

— Ostatnie portki sprzedać, a do spółdzielni na głód i poniewierkę nie iść! To wszystko mydlenie oczu, póki każdy cały — krzyczał były sołtys, Władysław Kołodziejczyk.

Tęgośmy się napracowali tego popołudnia, choć był to dzień świąteczny... Wieczorem zapadła uchwała rodzinna, że Zenek, który jest z rodzicami na gospodarstwie, będzie kończył korespondencyjne technikum rolnicze. Uradowany chłopak długo nam w nocy opowiadał, jakie by można łąki w Dymkach założyć, gdyby się wspólnie do nich zabrać. A warzywa?... Na piasku urosną, jak się zechce. Miał doświadczenie w tej sprawie.

W drugim mieszkaniu stół giął się od książek rolniczych. Spółdzielni byłby potrzebny agronom — wyznaczał już sobie rolę w przyszłości wsi.

A jednak Dymki to mimo wszystko niż... Gdzie indziej ludzie szybciej dojrzewają: Stare tradycje, zacofanie, bierność, słaba praca Gminnej Rady — ot, co!

9 lipca

Żniwa trwają w całej pełni. Kończymy już koszenie żyta. Ale wszędzie jeszcze króluje kosa. Jedynie Karłuzina kosiarkę pożyczyła, bo jej się najem nie opłaca.

(Dokończenie na str. 3)

SERGIUSZ JAŚKIEWICZ

SPÓŁDZIELNIA W NATARCIU

KIEDY zobaczyłem ob. Lebiodę, przewodniczącego spółdzielni produkcyjnej w Jackowicach pod Łowiczem — zapomniałem o padającym deszczu. Lebioda wracał właśnie z miasta, gdzie chciał kupić buhaja. Jego na swój sposób bardzo elegancki wygląd, ubiór, zegarek, sposób bycia i poruszania się, a potem rozmowy — dały mi wiele do myślenia. To wszystko też przecież świadczy o stopie życiowej człowieka, o jego warunkach bytowania materialnego. Pomyślałem sobie, że Lebioda śmiało mógłby znaleźć się na przygotowywanej wystawie rolniczej, jako eksponat, „w charakterze propagandy poglądowej". Ale nie tylko on.

*

Chlubą Jackowic jest obora. Ponad 4.000 l. mleka przeciętnej rocznej, to nie w kij dmuchał! Trzeba mieć i krowy „rekordzistki" i pracowite, fachowe dojarki, i niegłupiego oborowego. A kiedy obora jest jeszcze oborą zarodową — jak tu właśnie— toć trzeba specjalnej dbałości o zdrowotność bydła, właściwy dobór i selekcję, wychowanie „młodzieży", o pedantyczną izolację sztuk wyselekcjonowanych. Nic dziwnego, że w tych warunkach „wyprawa po buhaja" jest tak dla przewodniczącego, jak i dla całego kolektywu problemem...

Oborowy Walenty Szkopiak rozumie, że o przyszłości zarodowej obory decyduje wychów młodych. Toteż pamięta o nich jak dobra mamka: nie szczędzi mleka, którego spółdzielnia poświęca 9 litrów dziennie na cielę, dogląda, pamięta o spacerach i sporcie nieledwie. Pod taką opieką „młodzież" stanie się godna swej obory na pewno!

Jest przecie Szkopiak przodującym oborowym, któremu Państwo Ludowe w uznaniu zasług nadało Krzyż Zasługi, co jest przedmiotem uzasadnionej dumy tego człowieka — tak jak nie na próżno Stachurska nosi tytuł przodującej dojarki. Wydoić krowy też trzeba umieć, by osiągnąć wysoką wydajność mleczną.

*

Oczywiście taka obora wymaga odpowiedniej bazy paszowej. Spółdzielnia i tu nie „odstaje". 50 ha koniczyn, lucerny i traw produkowa-



Zaprzyjaźnieni koledzy z brygady polowej: Wojciechowski, Guzek, Kostrzewa i Kowalski w przerwie na papierosa dyskutują nad aktualną humoreską zamieszczoną w ich ulubionym czasopiśmie



Oborowy Walenty Szkopiak sam wie, że o przyszłości zarodowej obory decyduje troskliwy wychów młodych cielat

nych na siano i na ziarno — to dalszy przedmiot chluby pracowitej trzydziestki ludzi z jackowickiej spółdzielni, wyraz walki o nową wieś polską, zwłaszcza, że plony „niczego": 57 q traw z ha, 60 q koniczyny, 75 q lucerny z 1 ha — w sianie! Nie licząc zakontraktowanych na nasienie 5 ha koniczyny, 2 ha traw, 4 ha roślin strączkowych...

Przybywają do Jackowic wycieczki zbiorowe. Przybywają chłopi indywidualni. Różni. Tacy, którzy widzą już i rozumieją wyższość gospodarki zespołowej; tacy, którzy wszędzie podejrzliwie „wietrzą" propagandę, tacy, którzy jeszcze są niezdecydowani; i tacy, którym kułak do ucha nakładł bredni nadziewanych plotką... Zbierając u siebie 120-140 q ziemniaków z ha — widzą zbiory spółdzielcze (220 q w r. ub. i 230 q przewidywane w tym roku). Podziwiają wydajność buraka cukrowego, dorodne zboża na pniu i piękne ziarno w spichrzu. Patrzą na przestronny, jasny, czyściuteńki budynek, jakich do niedawna i ludzie nie mieli — okazuje się on chlewnią! Patrzą na kolonię pięknych domków rodzinnych — a tam nie propaganda mieszka, jeno ludzie. Widzą kulturalne mieszkania i różnicę poziomu życia jak najbardziej naocznie...

Wyostrzonym nierzadko przez plotkę — lub choćby tylko własną nieufność — wzrokiem i słuchem, szukają śladów nieludzkiej harówki, mordęgi kobiet, może dzieci. A znajdują — dzieci przy książce lub zabawie, kobiety — różnie: w polu samodzielnie, w polu z mężami, jak i takie, co w domu strawę jeno warzą, robótki robią, na działce przyzagrodowej warzywa pielą. Zobaczą natomiast wszędzie — maszyny. Spółdzielcze i pomowskie. Przekonają się naocznie, czym jest stosowanie nowoczesnych metod uprawowych, pielęgnacyjnych i sprzętowych. I w cichości ducha porównają swoją pracę na indywidualnych zagonach, a niejeden swą istotną harówkę sprzed lat u bogacza — tego samego nieraz, co go dziś jeszcze „spółdzielczą mordęgą" straszy.

Jeśli zechcą — dosłyszą proste słowa Szkopiaka, który przy pomocy żony wyrobił w ub. r. 680 dniówek, co dało mu 50 m zboża, 120 m kartofli, 3 m cukru, sporo gotówki za dniówkę — przy dochodzie 4.000 zł z samej tylko cebuli, zebranej na działce przyzagrodowej! Usłyszą o budowie obórki, o coraz to nowych inwestycjach, o domku za 24.000 zł, zbudowanym z budulca dostarczonego przez państwo i spłacanego przez lat 30, groszowo. Pozna ich Szkopiak ze swą żoną, z trojgiem nieletnich dzieci, z córką zamężną, Józefą Witkowską — jej pociechą i na żywych przykładach ujawni, jak można dzięki spółdzielni bez kłopotu utrzymać ich wszystkich. Powie im zwyczajnie: „jest mi dobrze, dobrze zarabiam", a potwierdzi to Cieślak, Stachurscy, Piechoccy i Kostrzewa, i Guzek, i Ko-

(Dokończenie na str. 3)



LEONARD WALLICHT

POWIEŚĆ O BUŁGARSKIM KOMSOMOLSKU

Do najważniejszych, budujących się obecnie obiektów w Bułgarii, należy pierwsze socjalistyczne miasto młodej ludowej republiki — Dymitrowgrad, dźwigany w górę rękami młodzieży. O budowie znajdującego się w Dymitrowgradzie wielkiego kombinatu przemysłowego „Stalin" i o jego młodych budowniczych opowiada przełożona niedawno na język polski powieść bułgarskich pisarzy Stojana Ninowa i Bogdana Botewa: „Zawsze ze Stalinem".*)

Jak się dowiadujemy z krótkiego wstępu poprzedzającego książkę, Ninow i Botew są stosunkowo młodymi pisarzami, znanymi w swojej ojczyźnie głównie z działalności dziennikarskiej. „Zawsze ze Stalinem" — stanowi ich pierwszy, większy utwór. Jego autorzy przez dłuższy czas przebywali na terenie Dymitrowgradu. Powieść oparta jest więc na autentycznym materiale.

Książka ukazuje początkowe stadium budowy miasta. Był to trudny okres. Zaopatrzenie w konieczne materiały niejednokrotnie zawodziło, robotnicy mieszkali w fatalnych warunkach, występowały konflikty między kierownictwem technicznym a organizacją partyjną, mnożyły się akty sabotażu ze strony wroga klasowego, szerzyły się demoralizujące plotki, występowały wypadki potajemnych ucieczek z budowy. Bułgarscy chłopcy i dziewczęta nie ugięli się jednak pod brzemieniem trudności. Przy pomocy partii wszystkie przeszkody zostały przezwyciężone. Czytelnika ogarnia podziw dla niezwykłego entuzjazmu i hartu bułgarskiej młodzieży. Trzeba było rzeczywiście niewiarygodnej wprost żarliwości twórczej i zaciekłego oporu, by w opisanych wyżej warunkach, gdy wolne od pracy wieczory musiało się spędzać w pozbawionych elektryczności i zimnych barakach, gdy biurokratyzm urzędników nieraz opóźniał wypłatę zarobków, gdy w dodatku starsi pracownicy i część kierownictwa nie wierzyła w młodzież — trzeba było doprawdy bohaterstwa, by w takich warunkach zaplanowane roboty kończyć przed terminem. Młodzieżowcy pracowali na najtrudniejszych odcinkach budowy, przodowali we współzawodnictwie pracy, brygady młodzieżowe wysoko przekraczały wyznaczone normy. Ninowowi i Botewowi udało się odtworzyć w powieści niebywały zapał i upór młodzieży bułgarskiej w budowaniu Dymitrowgradu. I to osiągnięcie stanowi największą wartość tej książki.

Na wielkim placu budowy Dymitrowgradu chłopcy i dziewczęta z Dymitrowskiego Związku Młodzieży Narodowej zdobywają cechy godne epoki, w której żyją: twórczą zuchwałość, wiarę w człowieka, żelazną wolę i świadomość siły tkwiącej w zespołowym działaniu: w Dymitrowgradzie rosną nowi ludzie. Kiedy Czerwenkow, zwiedzając powstający kombinat pyta członków brygady „Stalin" czy budowa będzie ukończona przed terminem, wszyscy z głęboką pewnością odpowiadają: „Rozumie się". A młody Stanko Grozdanow przy wstępowaniu do Partii nie potrafi mówić o swojej pracy i osiągnięciach bez wymienienia nazwisk kolegów. Albo Eliazer, jeden z najlepszych szybkościowych murarzy, który początkowo nie chce się z nikim dzielić tajemnicą swoich sukcesów, później zrywa z egoizmem i ogłasza swoje doświadczenia, aby wszyscy dla wspólnego dobra mogli z nich korzystać.

Rzecz jasna, nie wszyscy wytrzymują ogniową próbę dymitrowgradzkiej kuźni nowego człowieka. Karierowicze, lekkoduchy, wygodnicy odpadają w toku budowy. Jest w powieści bardzo udana postać Walentego Harmandżijewa, nieszkodliwego blagiera i inicjatora różnych przygód. Walenty ma wielki posłuch wśród swej brygady. Chłopcom imponuje rówieśnik, który rzekomo zwiedził tyle świata i tak niezwykłe miewał przeżycia. Walenty pod wpływem rozmowy z zakładowym sekretarzem partii — Łukanowem zapala się do współzawodnictwa z brygadą Stanka, ba, wzywa do rywalizacji wszystkich młodzieżowców. Harmandżijew nie zdaje sobie jednak sprawy, że realizacja tych decyzji będzie wymagać od niego i jego chłopców przede wszystkim wytrwałości i wzmożonej pracy. Walenty chciałby po prostu jakimś cudem zdobyć pierwszeństwo przed Stankiem. Istotnie udaje mu się wpaść na pomysł wykorzystania nurtu Maricy do transportu sosnowych pni. Zastosowanie tego usprawnienia rzeczywiście przyczynia się do zwiększenia wydajności pracy jego brygady. Rozgorączkowany Walenty myśli, że Stanko został już pobity. Okazuje się jednak, że przebyto dopiero połowę drogi. Zawiedziony Harmandżijew rezygnuje ze współzawodnictwa i wraz z całą swą brygadą ucieka z placu budowy. Wydaje się jednak, że w tym miejscu autorzy powieści rozczarowali czytelnika, który spodziewał się, że Walenty i jego chłopcy zmienią się, że znajdą w sobie upór i wysiłek znamionujący budowniczych Dymitrowgradu. Cała brygada cieszy się bowiem u czytelnika sympatią i jej ucieczka stanowi dlań zaskoczenie.

Przy budowie Dymitrowgradu przyszedł Bułgarii z wielką pomocą Związek Radziecki. Kraj Rad dostarczył pierwszemu socjalistycznemu miastu ludowej republiki szereg nieodzownych materiałów, dokumentację techniczną i przysłał swoich fachowców. Na tle tej pomocy zarysowuje się w powieści różnica między socjalistycznym, a kapitalistycznym systemem budownictwa. Chodziło o szybkie i tanie zmontowanie konstrukcji bloku nr 500. Inżynier Hackimesser, niemiecki specjalista zaproponował konstrukcję drewnianą, natomiast radzieccy fachowcy — stalową. W toku otwartej dyskusji wyszło jednak na jaw, że projekty Hackimessera oparte na doświadczeniach, które ten inżynier zdobył podczas kierowania robotami przeprowadzonymi przez kapitalistyczne firmy w Iranie i Turcji, zupełnie nie odpowiadają obecnej bułgarskiej rzeczywistości. Tam, kapitaliści nie wiedząc jak długo będą gospodarzami, a chcąc zagrabić jak najwięcej, nie widzieli sensu w budowaniu solidnych obiektów — tu, zdobywszy trwałą władzę naród bułgarski zainteresowany jest w inwestycjach, mogących mu służyć jak najdłużej. Projekt inżyniera Hackimessera za cenę szybkiego ukończenia i obniżenia kosztów własnych rezygnujący z trwałości konstrukcji — upadł. I mimo to, mimo zdecydowania się na montaż konstrukcji stalowych, blok nr 500 wybudowano przed terminem i osiągnięto oszczędności. Blok ogłoszono za obiekt szturmowy. Reszty dokonała wspaniała młodzież bułgarska.

Dużo kart swojej książki Ninow i Botew poświęcają opisowi intryg grupy wrogów, pragnących przeszkodzić w budowie kombinatu. Grupa ta, mająca poparcie chwiejnych i klasowo obcych elementów spośród pracowników Dymitrowgradu, planowała szeroką akcję dywersyjną: próbowała niszczyć ukończone już obiekty, usiłowała przeprowadzić zamachy na życie odpowiedzialnych kierowników budowy — udało jej się nawet otruć jednego z inżynierów — siała ferment wśród robotników. Wspólne wysiłki partii, dyrekcji, milicji i młodzieży udaremniły w zarodku zdradziecki spisek. Wszyscy członkowie dywersyjnej grupy zostali aresztowani.

A teraz kilka słów o usterkach artystycznych książki. Przede wszystkim spotyka się dużo naiwności i niekonsekwencji w rysowaniu sylwetek postaci. Powieść zawiera również fragmenty kompozycyjnie nieumotywowane (obszerny list Hali do Saszy). Nieraz też, zwłaszcza w malowaniu entuzjazmu i radości młodzieży uderza deklaratywność, której dałoby się doskonale uniknąć przez psychologiczne pogłębienie motywów działania odpowiednich postaci. Wreszcie w kilku miejscach autorzy książki nie doprowadzają zadzierzgniętego wątku do końca, pozostawiając czytelnika w niejasnych domysłach (sprawa miłości Mikołaja i Stanka do Siuchejły).

Te wszystkie niedociągnięcia nie potrafią przesłonić istotnej wartości książki: ukazania bohaterstwa bułgarskiej młodzieży, która daje z siebie wszystko, by jak najprędzej zbudować socjalistyczne jutro swojej ojczyzny.

Powieść kończy się epizodem, który refleksem rozjaśnia całą treść książki: Kombinat „Stalin" za kilka dni ruszy. Pola Dobrudży otrzymają sztuczne nawozy. Dwaj inżynierowie rozmawiają o drodze, którą kroczy Bułgaria. Przypominają sobie słowa Czerwenkowa: „Zawsze ze Stalinem", zawsze we wszystkich okolicznościach i warunkach z towarzyszem Stalinem, a nie będzie dla naszej Partii fortec nie do zdobycia!..."

Leonard Wallicht

*) S. Ninow i B. Botew „Zawsze ze Stalinem", Czytelnik 1953, str. 484. Z bułgarskiego tłumaczyła Helena Bychowska.

STEFAN KAMIŃSKI

WALKA PROLETARIATU FRANCJI

Potężna fala strajków, która od przeszło dwóch tygodni ogarnia całą Francję, jest wyrazem ogólnego niezadowolenia francuskiej klasy robotniczej z polityki rządzącej reakcji.

Gdy dwa lata temu zamrożono płace, zapewniano robotników, że i ceny artykułów konsumcyjnych nie ulegną zmianie. W rzeczywistości jednak kolejne rządy reakcyjne pozwalają koncernom przemysłowym i monopolistycznym spółkom handlowym często podnosić ceny. Co więcej, samo państwo burżuazyjne ściąga coraz wyższe podatki od sprzedawanych towarów, celem finansowania wyścigu zbrojeń i zbrodniczej wojny przeciw narodowi vietnamskiemu. W rezultacie we Francji szaleje straszna drożyzna, a wartość zamrożonych płac robotników, jak i dochodów chłopów pracujących oraz rzemieślników i drobnych sklepikarzy — maleje z dnia na dzień.

W wysoce uprzemysłowionej Francji, gdzie gospodarka mogłaby zapewnić całej ludności dostatnie życie, masy pracujące wiodą dziś nędzny żywot wskutek proamerykańskiej polityki wojennej kół rządzących. Masło, mięso, ser i jajka znikają ze stołów rodzin robotniczych. Ludzie pracy chodzą w połatanych ubraniach. W dzielnicach robotniczych dzieci mają chorobliwy wygląd. Miliony ludzi żyje w pozbawionych wszelkich wygód norach.

Szczególnie żałosna jest dola urzędników państwowych, którzy zarabiają jeszcze mniej niż zatrudnieni w prywatnych przedsiębiorstwach robotnicy i urzędnicy. W ostatnich latach rządząca burżuazja, celem zmniejszenia ogromnych deficytów swego budżetu, zwalniała masowo funkcjonariuszy aparatu państwowego, redukowała ich zarobki i zmniejszała ich emerytury. Doszło do tego, że pobory wszystkich pracowników państwa, które w 1938 r. osiągnęły 40 proc. całego budżetu Francji, stanowią już dziś tylko 13 proc. tego budżetu.

Panującej reakcji to wszystko jeszcze nie wystarczało. Obecny ultrareakcyjny rząd wielkiego przemysłowca Laniela postanowił obarczyć masy ludowe jeszcze większymi ciężarami podatkowymi i obniżyć jeszcze bardziej ich nędzną stopę życiową. Niedawno, zanim francuskie Zgromadzenie Narodowe przerwało swą pracę na okres ferii letnich, reakcyjna większość Zgromadzenia udzieliła rządowi wyjątkowych pełnomocnictw do ogłoszenia dekretów z mocą ustawy. Na tej podstawie rząd ogłosił na początku sierpnia pierwszą serię dekretów, godzących w pracowników państwowych, w lokatorów czynszówek, w inwalidów wojennych, w sklepikarzy i inne warstwy ludu.



14 luty 1950 roku w Nicei. *Singer Gerard*

Dla przeprowadzenia ataku na poziom życia mas, koła rządzące wybrały sierpień, kiedy to znaczna część personelu przedsiębiorstw i instytucji przebywa na urlopie, a tętno życia społecznego i politycznego w całym kraju słabnie. Miliarder Laniel spodziewał się, że w takim okresie świat pracy nie będzie w stanie stawić mu skutecznego oporu. Ale masy ludowe zawiodły nadzieje reakcji. Cierpliwość doprowadzonych do skraju nędzy mas pękła wreszcie. Gdy wyjątkowe dekrety zostały ogłoszone, milionowe rzesze robotników i urzędników stanęły do otwartej walki przeciw polityce głodu i wojny klasy panującej.

Strajk ogarnął pracowników poczty, telegrafu i telefonów oraz kolejarzy i marynarzy, urzędników wielu ministerstw i personel samorządów dużych miast, załogi stoczni oraz pracowników elektrowni i gazowni w całym kraju. Walkę rozpoczęli też górnicy, hutnicy, włókniarze, dokerzy i robotnicy budowlani. Przy ich boku stanęli pracownicy radia, gazet i przedsiębiorstw handlowych, załogi drukarni, fabryk odzieżowych itd. Niektóre oddziały klasy robotniczej przeprowadziły jednodniowy lub dwudniowy strajk protestacyjny; inne proklamowały nieograniczoną walkę aż do zwycięstwa.

Strajkujący domagają się nie tylko zniesienia wyjątkowych dekretów, ale i podwyżki płac, polepszenia warunków pracy, poszanowania ich praw związkowych, no i położenia kresu polityce nędzy, przygotowań wojennych i zdrady narodowej, prowadzonej przez rządy reakcyjne.

Tak potężnej i masowej fali strajków Francja nie widziała od lat 1935—36, kiedy to klasa robotnicza, zjednoczona w walce przeciw groźbie faszyzmu, doprowadziła do władzy koalicję frontu ludowego. Dziś, podobnie jak wtedy, ramię przy ramieniu walczą robotnicy zrzeszeni w różnych organizacjach związkowych. Przywódcy utrzymywanych przez Wall Street związków socjaldemokratycznych, chrześcijańskich i autonomicznych na próżno usiłują rozbić jedność strajkujących. Szeregowi członkowie tych związków współdziałają wszędzie z ogromną większością robotników, skupionych w klasowych związkach zawodowych centrali CGT.

Prowodyrzy rozłamowych central związkowych nie dają za wygraną. Intrygują oni przeciw komunistycznym przywódcom ruchu strajkowego, próbują odciągnąć masy członkowskie swych organizacji od wspólnej walki, prowadzą rokowania z rządem celem rozbicia jednolitego frontu strajkujących. Ze swej strony rząd burżuazyjny terroryzuje walczących, przeprowadza bezprawne areszty i posługuje się więźniami kryminalnymi oraz wojskiem dla złamania strajku. Nie bacząc jednak na wszystkie te wysiłki, walka wciąż przybiera na sile.

Ruch strajkowy cieszy się sympatią szerokich mas chłopstwa pracującego i biedoty miejskiej. Wszystkie warstwy ludności pracującej rozumieją coraz lepiej, że dekrety wyjątkowe i antyludowa polityka reakcji zwrócone są również przeciw nim. Dlatego też popierają walkę proletariatu, broniącego żywotnych interesów narodu.

Robotnicy francuscy walczą nie tylko w obronie swych praw, lecz również o radykalną zmianę polityki ich kraju. Obecna fala strajkowa jest jednym z aspektów walki narodu francuskiego przeciw udziałowi jego kraju w tak zwanej Wspólnocie Atlantyckiej. Jest to walka o politykę reform społecznych i prawdziwej demokracji, o politykę niezawisłości narodowej i pokoju.

Potężny ruch strajkowy jest wyrazem kategorycznego sprzeciwu narodu francuskiego przeciw dyktowanej przez USA polityce rządu Laniela. Toteż wydarzenia we Francji, będącej jednym z głównych sojuszników agresywnego bloku atlantyckiego, wywołały duże zaniepokojenie w Waszyngtonie. Za to wszystkie miłujące pokój narody na świecie obdarzają powszechną sympatią wielką walkę pokojową francuskiej klasy robotniczej.

Stefan Kamiński

TOMASZ ATKINS

Tydzień w świecie

Rozwiązać kwestię niemiecką!

„Generałowie atlantyccy budzą się w nocy oblani zimnym potem i zastanawiają się, gdzie właściwie mogłyby stacjonować w Europie oddziały atlantyckie, gdyby pewnego dnia doszło do zawarcia porozumienia w sprawie jedności Niemiec i wycofania wszystkich wojsk okupacyjnych".

Amerykański publicysta C. L. Sulzberger, który napisał te słowa w burżuazyjnym dzienniku „New York Times", trafił w sedno rzeczy. W całej bowiem Europie zachodniej pali się ziemia pod stopami amerykańskich okupantów. Potężna fala strajkowa francuskiej klasy robotniczej, która walczy nie tylko o prawa bytowe, lecz i o samodzielność polityki francuskiej, dowiodła raz jeszcze, że na Francję imperialiści amerykańscy nie mają co liczyć. We Włoszech wielkie zwycięstwo wyborcze lewicy i upadek rządu De Gasperiego usunęły grunt spod planów przekształcenia Włoch w stałą kolonię amerykańską. Z wielkich krajów kontynentu europejskiego pozostają tylko Niemcy, a właściwie tylko zachodnia ich część, okupowana przez Stany Zjednoczone.

Rozbicie Niemiec i okupacja Niemiec zachodnich — to fundament, na którym zbudowane są wojenne plany imperialistów amerykańskich w Europie. Pomyślmy tylko: okupowane Niemcy zachodnie — to duży arsenał zbrojeniowy. Bez przemysłu Zagłębia Ruhry imperialiści amerykańscy nie mogliby uzbroić armii swych wasali w Europie. Okupowane Niemcy zachodnie — to źródło taniego mięsa armatniego. Bez wskrzeszenia hitlerowskiego Wehrmachtu imperialiści amerykańscy nie mogliby marzyć o zwerbowaniu najemnej armii napastniczej w krajach Europy zachodniej Okupowane Niemcy zachodnie to jedyna szansa urzeczywistnienia amerykańskich planów rozpętania nowej wojny w Europie. Gdyby Niemcy zostały zjednoczone, a wojsko okupacyjne wycofane z Niemiec, cała strategia paktu atlantyckiego wzięłaby w łeb.

Dlatego właśnie Stany Zjednoczone i ich sojusznicy — rządy Anglii i Francji, uparcie sabotują wszelkie propozycje zmierzające do rozwiązania kwestii niemieckiej w duchu pokojowym i demokratycznym. Dlatego usiłują one związać Niemcy zachodnie układami wojennymi z „blokiem atlantyckim" i z „armią europejską". Dlatego nie odpowiedziały one dotychczas na radziecki projekt traktatu pokojowego z Niemcami, przedstawiony jeszcze w marcu 1952 roku. Bo przecież zawarcie traktatu pokojowego z Niemcami położyłoby kres wojennym machinacjom państw atlantyckich, rozładowałoby napięcie międzynarodowe i zapewniłoby trwały pokój i bezpieczeństwo wszystkim narodom Europy.

Ogłoszona przed kilkoma dniami nota rządu radzieckiego ponawia propozycję zwołania — najpóźniej w ciągu sześciu miesięcy — konferencji pokojowej dla opracowania traktatu pokojowego z Niemcami i wycofania z Niemiec wszystkich wojsk okupacyjnych. Nota proponuje jednocześnie szereg praktycznych kroków w kierunku przywrócenia jedności Niemiec (jak np. utworzenie rządu ogólnoniemieckiego), które mogłyby być zrealizowane natychmiast.

Od ośmiu lat sprawa Niemiec czeka na uregulowanie. Propozycje radzieckie, opierające się na układzie poczdamskim, który gwarantuje granicę na Odrze i Nysie, stwarzają możliwość uregulowania kwestii niemieckiej w myśl interesów samych Niemców i wszystkich sąsiadujących z nimi narodów. Najwyższy czas, zlikwidować tę nienormalną sytuację, brzemienną niebezpieczeństwem nowej wojny światowej.

ONZ musi służyć pokojowi!

„Organizacja Narodów Zjednoczonych jest już faktycznie martwa. Zabiła ją wojna koreańska, albowiem, obawiając się Związku Radzieckiego, ONZ nie chciała tej wojny rozszerzyć".

Tak pisał, pieniąc się ze źle ukrywanej złości redaktor naczelny amerykańskiego tygodnika reakcyjnego „United States News and World Report" p. Dawid Lawrence. I nie jest to bynajmniej głos odosobniony. Najbardziej reakcyjni politycy amerykańscy otwarcie nawołują, do likwidacji ONZ i zastąpienia jej systemem sojuszów wojennych na wzór bloku atlantyckiego. A czynią to dlatego, że nawet w ONZ, którą potrafili dotychczas wykorzystać jako narzędzie swej agresywnej polityki, rośnie i wzmaga się opór przeciwko awanturniczej polityce pewnych kół amerykańskich.

Rozpoczęta w ubiegłym tygodniu nadzwyczajna sesja Zgromadzenia Ogólnego ONZ poświęcona problemowi koreańskiemu, dostarczyła na to nowych dowodów. Machinacje USA, aby z góry storpedować konferencję polityczną dla pokojowego uregulowania sprawy koreańskiej przez niedopuszczenie do niej Związku Radzieckiego i Indii, napotkały na opór nawet ze strony sojuszników Stanów Zjednoczonych. Staje się coraz bardziej widoczne, że USA nie mogą już liczyć w takim stopniu jak dawniej na swą osławioną „mechaniczną większość" w ONZ. Z pałki policyjnej w rękach agresorów, ONZ staje się kamieniem młyńskim u ich szyi.

I nie pomogą tutaj narzekania na samą Organizację Narodów Zjednoczonych. Jak mówi stare przysłowie: „nie trzeba narzekać na lustro, gdy gęba jest krzywa". To nie ONZ jest winna rosnącej izolacji USA na arenie międzynarodowej. Przyczyną tej izolacji jest ogromny wzrost sił pokoju na całym świecie i zaostrzające się sprzeczności w obozie państw kapitalistycznych. Malejące wpływy Stanów Zjednoczonych w ONZ są tylko odbiciem — i to daleko niepełnym odbiciem — tych procesów, które nieustannie zachodzą poza salami konferencyjnymi w Nowym Jorku.

W przeciwieństwie do Stanów Zjednoczonych, stosunek krajów obozu pokoju do ONZ pozostał nie zmieniony Kraje demokratyczne, w tym także Polska Ludowa, nigdy nie straciły wiary, że organizacja ta, wyrosła z najpiękniejszych nadziei ludzkich na utrwalenie pokoju i bezpieczeństwa narodów, wróci na drogę, którą narody jej wytyczyły. Obecna sesja ONZ otwiera nie tylko drogę do porozumienia w sprawie Korei, ale także do podniesienia autorytetu i roli Organizacji Narodów Zjednoczonych — organizacji stworzonej po to, aby służyła pokojowi.

Tomasz Atkins

WSPOMNIENIA O BUNTACH CHŁOPSKICH

Jak to było w Kozodrzy

Kol. Ludwik Wanat z Kozodrzy w powiecie dębickim pisze w liście do redakcji „Wsi":

Książka „Przed świtaniem" zawierająca opis buntów chłopskich z lat 1932 — 1937, wywołała w pamięci chłopów z naszych okolic ponure wspomnienia o rządach sanacyjnych.

W pamiętnym dla nas na zawsze roku pacyfikacji nasze strony dotknięte były powodzią i gradobiciem. Bieda gnębiła ludzi strasznie. Zapałki w każdej chacie dzielono na cztery części. W wielu domach nie było soli. Małe dzieci z reguły chodziły w koszulinach, bo na ubranka nie było nas stać. O obuwiu nikt nie mógł nawet marzyć.

We wsi działały KPP, NPCh i SL. Członkowie tych organizacji, zwoływani przez kol. Jana Śliwę i przeze mnie, zbierali się razem i wspólnie radzili: co robić dalej? Bo zbliżały się do nas głód, choroby i inne nieszczęścia.

Nastroje na wsi były takie, że bunt przeciwko rządom sanacyjnym mógł wybuchnąć w każdej chwili. Chłopi widzieli wyraźnie: sanacja pchała kraj w przepaść. Sejm stracił wszelkie znaczenie. Tysiące działaczy chłopskich siedziały w więzieniach. Praktyki Brześcia potęgowały gniew.

I oto w czasie, kiedy skrajna nędza zaglądała do chałup chłopskich, kiedy władze prowokacyjnie deptały wszelkie prawa — zjechał do naszej wsi z policjantem poborca podatkowy.

Oburzone chłopstwo z pieśnią „O cześć wam panowie magnaci..." ruszyło na poborcę i policjanta, przepędzając obu ze wsi.

Bunt chłopski ogarnął cały teren. Do walki stawało po trzy tysiące chłopa.

Setki nasłanych policjantów rozpoczęły wtedy masakrę. Salwy padały w najbardziej zwarte tłumy. Trupy zaścielały drogi i pola.

Zaledwie zdążyła zastygnąć chłopska krew, a już sanacja rozpoczęła pacyfikację. Policjanci pałkami gumowymi i kolbami karabinów zbili w Kozodrzy mnie i żonę, a nieżyjącego już kol. Jana Śliwę tak stłukli, że całe jego ciało nabrało koloru ziemi.

Ani bicie, ani sądy, ani wyroki skazujące nie złamały chłopów walczących za sprawę ludu. Straszne przeżycia uczyniły nas jeszcze silniejszymi, twardszymi, bardziej zdecydowanymi.

Lud wiejski wspólnie z klasą robotniczą domagał się od rządu rozwiązania sejmu i senatu, wolnych wyborów, zmniejszenia podatków, poszanowania prawa, amnestii dla więźniów politycznych. Sanacja na nasze apele odpowiedziała wzmożonym terrorem. Aż zaprzedawszy kraj Hitlerowi, doprowadziła Polskę do największej klęski, jaką kiedykolwiek na nią spadła. Podźwignął ją z nieszczęść dopiero polski lud.

Podczas okupacji wielu przywódców strajków chłopskich u nas wstąpiło do Armii Ludowej, w której szeregach krwawo zmagało się z okupantem. W wyzwolonej już Ojczyźnie — ci, którzy pozostali przy życiu — stanęli do budowy państwa ludowego.

Dziś po długiej walce o prawa ludu, my starzy w tej walce żołnierze, z radością podchwytujemy hasła głoszone przez najpotężniejszy kraj na świecie — Związek Radziecki: „Niech żyje pokój między narodami!"

Książka „Przed świtaniem" — kończy kol. Wanat — wiernie odtwarza bunty chłopskie. Opisuje walki chłopów tak, jak rzeczywiście przebiegały.

S. Z.

Rankiem 20 VI 1933 r. w Nockowej

Z ogromnym zainteresowaniem — pisze do Redakcji „Wsi" kol. Stanisław Grobelny z Noskowej w powiecie Dębica — czyta nasza gromada książkę „Przed świtaniem". Opisane w niej wypadki dobrze pamiętamy. Ku hańbie siepaczy sanacyjnych, którzy bestialsko mordowali chłopów walczących o prawa ludu, weszły one do historii Nockowej.

Nie ma tygodnia, żebyśmy nie wracali pamięcią do tamtych dni. Nasza wieś przeżywała wówczas okropne czasy. Do izb chłopskich przez cały przednówek zaglądał głód. Pracy nigdzie nie było. Rząd wyciskał podatkami ostatni grosz, głusząc terrorem każdy głos protestu. Na zebraniach koła SL i komórki KPP w naszej wsi zapadały postanowienia, ażeby cały lud polski zażądał od władz przeprowadzenia reformy rolnej.

20 czerwca 1933 roku o świcie oddziały policji zjechały do Noskowej. Granatowi oprawcy aresztowali miejscowych przywódców KPP i SL: Walentego Szeligę, Wojciecha Kicińskiego, Józefa Jaworskiego, Alojzego Nawoja i Jana Salomona.

W Noskowej zawrzało. Na skrzyżowaniu dróg, kędy policja miała wracać, zebrało się 400 chłopów, a dalsze dziesiątki podążały z okolic.

Na drodze szybko wyrosła barykada. Chłopi zdecydowani byli odbić aresztowanych.

Gdy policja nadjechała wezwała zgromadzonych do rozejścia się. Tłum odpowiedział na to ruszeniem w kierunku auta z aresztowanymi. Policja otworzyła ogień. Dziewięciu chłopów padło od kul, aby się już nie podnieść; czterech zostało ciężko rannych. Auto z aresztowanymi odjechało do Ropczyc drogą czerwoną od chłopskiej krwi...

Do nędzy Nockowej dołączyły się wtedy jeszcze łzy sierot i rozpacz rodzin pomordowanych.

Dziedzice pozostali na folwarkach. Chłopi w poszukiwaniu chleba musieli emigrować do Ameryki, Francji, Argentyny, Brazylii — gdzie kto mógł.

Te straszne czasy minęły bezpowrotnie. Odmieniły się losy chłopów w Nockowej. Wielu z nich zajmuje obecnie poważne stanowiska w administracji państwowej; niektórzy są oficerami w Wojsku Polskim. Są i tacy, którzy zdobyli dyplomy inżynierów i techników.

Prawie cała nasza młodzież — po ukończeniu szkoły podstawowej — przechodzi do szkół średnich lub zawodowych. Wiele chłopców i dziewcząt kształci się w wyższych uczelniach, pracuje w PGR-ach lub w przemyśle na Ziemiach Odzyskanych.

Nowe życie zmieniło Nockową do niepoznania. Polska Ludowa naprawiła krzywdy wyrządzone jej mieszkańcom przez zdrajców własnej Ojczyzny.

*

Przeszłość Nockowej, jej bohaterska walka z rządami ucisku, zajmuje niepoślednie miejsce w historii polskiej wsi. Pamięta o tym cały kraj. Pamiętać też powinny powiat Dębica i woj. rzeszowskie.

Nockowa dotychczas nie posiada światła elektrycznego. Nockowa żali się, że twarda droga, którą chłopi zbudowali i która zawsze była drogą powiatową — ostatnio została z rejestru dróg powiatowych skreślona.

Dlaczego?

Powiatowa Rada Narodowa w Dębicy i Wojewódzka Rada Narodowa w Rzeszowie powinny zainteresować się bolączkami Nockowej, pomóc jej w doprowadzeniu sieci elektrycznej do wsi, zbadać powody skreślenia jej traktu z rejestru dróg powiatowych i — ewentualnie — wydane w tej mierze zarządzenie cofnąć.

S. Z.

SPÓŁDZIELNIA W NATARCIU

(Dokończenie ze str. 2)

walczyk, i inni. Wtedy prysną lody niewiary i będzie tak, jak było z Gromykiem, czy Jachimkiem z Wyborowa.

Ale, ale — przecież Wy nie wiecie wcale jak to z nimi było. Więc posłuchajcie: W sąsiedniej, wyborowskiej gromadzie zabłysły ongiś żarówki, odezwało się radio. A jeszcze głośniej od radia — kułacy: Janeczek, Strach, Guz... — „Poczekajta, poczekajta, nagnają was do roboty, spółdzielnię każą zrobić — już przecie próżno światła i radia nie dają!"...

Światło świeciło, radio grało, nikt nikogo do niczego nie zapędzał, gospodarzyli chłopi, jak przed tym. Ale, że do Jackowic 12 km — ten i ów zajrzał tam, popatrzył, pokiwał głową, porównał i pomyślał: Coś w tym jest, zwłaszcza że nie naganiają. Może byłoby i warto samemu pomyśleć o spółdzielni?

Jednym z takich, co tak myśleli, był właśnie Jachimek. I wtedy zrodziła się wielka przyjaźń Janeczka, Stracha, Guza — z Jachimkiem, z Siekierą, z innymi. I kto wie, jakby się wszystko potoczyło dalej, gdyby Gromyk nie spotkał na targu Kostrzewy, sołtysa z Jackowic — członka jackowickiego „Zwycięstwa", przyjaciela od dziecka. A był już Gromyk pod obstrzałem kułackich gromów przeciw spółdzielni zupełnie „przeinaczony". Pogadali sobie przyjaciele i ani się Kostrzewa nie spostrzegł, jak stał się **agitatorem.** Pod koniec tej dziwnej rozmowy zaproponował: — „Wpadnij do nas, sam się przekonasz co i jak..."

Gromyk przyszedł kiedyś niespodzianie. I kiedy sam z bliska na wszystko dokumentnie popatrzył — wrócił do rodzinnego Wyborowa z decyzją. A tu ani spostrzegł — jak z kolei sam stał się agitatorem.

Przyszli potem do Wyborowa z rewizytą „żołnierze" z jackowickiej spółdzielni. Stachurska pogadała z kobietami wyborowskimi, Kostrzewa i inni — z chłopami; rzetelnie, bez „lipy", kłopotów — np. węglowych, też nie ukrywając... I oto w Wyborowie powstała spółdzielnia, a jeden z pierwszych przystąpił do niej Jachimek.

*

Rejonowe wystawy rolnicze, organizowane w ostatnich dniach sierpnia i pierwszych dniach września w wielu punktach kraju, a jeśli o ziemię łódzką chodzi — w Łowiczu i Piotrkowie, przedstawią prawdę o spółdzielni jackowickiej i innych spółdzielniach. Tak więc zobaczymy w Łowiczu: prócz Jackowic — Zabrzeźnię, Bogorię; z kutnowskiego: Bedlno, Grochów, Nową Wieś, Siemienice. W Piotrkowie: Głupice, Polichno, Rusociny, Lubiatów, Olsztyn; z radomskiego: Bogumiłowice, Wolę Wydrzyną, Olbrachcice, Mosty. Zobaczymy dorobek PGR-ów, i POM-ów, a także rolników gospodarujących indywidualnie, których osiągnięcia pokażą organizatorzy jak najbardziej obiektywnie.

Należy oczekiwać, że z wystawami zapoznają się jak najszersze masy naszego chłopstwa. Trzeba zatem, aby organizatorzy wystawy którzy tak sumiennie przygotowali problemową i kiermaszową część wystaw, zatroszczyli się o treść i wygląd zewnętrzny — pomyśleli z niemniejszą energią i zapałem o dobrej organizacji zwiedzania. Wystawy te okażą się niewątpliwie potężnym, uwielokrotnionym orężem, jakim na codzień posługują się bojownicy sprawy spółdzielczości. Przykład Wyborowa dobitnie świadczy o celowości użycia tego oręża, oręża najbardziej przekonywającego: wyników pracy spółdzielczości produkcyjnej. Patos mieści się w nich samych.

Sergiusz Jaśkiewicz

KRONIKA DNI URODZAJNYCH

(Dokończenie ze str. 2)

Kosimy wolno. Kości bolą. Ojciec też co chwila przystaje, kosą się podeprze i powiada, że maszyna — to jednak dobra rzecz.

— Założyłby człowiek, pokosił dzień lub półtora i nie trza by się tak narobić! Ale ten GOM lutotowski coś się nie stara. Dwie maszyny na razie, a do POM trzydzieści km. Dla tych nowopowstałych spółdzielni nie starczy.

Rozmowny był ojciec tego dnia. I chytry. Wciągał nas w rozmaite dyskusje, wymyślał najprzeróżniejsze kontrargumenty, w ten sposób swoją wiedzę uzupełniał. Żeby ludzie nie myśleli, że dzieci wszystko wiedzą, a stary już nic.

Pociągnął kilka razy kosą, trafił na kamień i znów przystanął.

— A z tymi wyborami do rad, to jak to?... My mamy wysuwać swoich kandydatów?

— Tak by według demokracji wynikało — odpowiedział Józek.

— Trzeba pomyśleć o kimś swoim ze wsi. Znałby wasze potrzeby i bolączki, w niejednym by pomógł.

— Przerobią go — upewniał nas ojciec. — przed wojną też mieliśmy w gminie „swego" przedstawiciela. Kałuża był prezesem gminnej kasy Strzelczyka. I co tam z tego było? On to se stodołę i chlewy wybudował; a nas, jak skrobali podatkami, tak i dalej skrobali...

— Ale czy wy wybieraliście Kałużę? — zapytał Józek.

— Tego to nie. Takie rzeczy odbywały się w karczmie lutotowskiej. Byle kogo tam nie dopuścili.

Znów machnęliśmy kosami.

— A pamięta ojciec jak przed wojną wybierano w Dymkach sołtysa? Też ci lepsi, Kałuża, Polewiak z Kijanic, Beś, Ślęzak. Zeszli się u Gwiazdy i aż im się z głów kurzyło. Na tym gazie Gwiazda pewno z 10 lat jechał.

A we wsi wszystkie rowy zarośnięte i dziury w drogach, a woda do kamasza dociekała. Teraz cała wieś będzie wybierać.

Marnieśmy wyszli tego dnia z robotą.

12 lipca.

Sprytnie podszedł nas ten Zakręta. Przyszedł wczoraj na zebranie zetempowskie i zaproponował: — Wy już po żniwach, więc zrobimy lotną brygadę kośną i pomożemy Julce Węgierskiej; sama dziewucha się męczy. Pomożemy też Walaszczykowi, bo zachorował i Józkowi Kołodziejczykowi.

Zakręta swoim zwyczajem cały dzień milczał. Dopiero wieczorem wytłumaczył. — Zobowiązaliśmy się o trzy dni skrócić koszenie w tym roku. Wypadało akurat na 12. Głupio było nie wykonać.

15 lipca.

Żegnamy Dymki. Wyjeżdżamy na wczasy. Ojciec całe rano kręcił się niespokojnie. Coś mu dolegało. Dopiero kiedyśmy wyszli, odprowadził nas kawałek i zapytał:

— Może Zakrętę podczas wyborów wysunąć. Mruk, ale przecie zmyślny chłop...

Władysław Udalski



Polska wycieczka ogląda pole pszenicy krzaczastej w sowchozie „Bolszewik"

LUDOMIR RUBACH

NIEZWYKŁA PODRÓŻ*)

WYCIECZKI polskich chłopów do Związku Radzieckiego są jedną z form braterskiej pomocy narodu radzieckiego, dzięki której łatwiej i szybciej realizujemy socjalizm w naszym kraju. Przynoszą one wielorakie korzyści: służą prawdzie, nauce, dobrobytowi, przyspieszają dojrzewanie ideowe, przemianę psychiki chłopów.

Korzyści, jakie dają wycieczki chłopów do ZSRR, nie możemy ograniczać do zestawiania uzyskanych przez członków delegacji chłopskich wiadomości o życiu w kołchozach, o gospodarce kołchozowej, o najnowszych metodach pracy na roli.

Sumę dobra zdobytego dzięki przyswojeniu tych wiadomości: praktycznie, bezpośrednio, poglądowo — trzeba przecież wzbogacić trudnowymierną oceną pożytku, jaki płynie z tego wstrząsu, z tej rewolucji, jaką przeżywają członkowie delegacji nawet najbardziej ufni, przekonani, najlepiej rozumiejący pożytek gospodarki spółdzielczej, jej entuzjaści i aktywiści. Zetknięcie bezpośrednie, spojrzenie w życie Kraju Rad, rozmowy z ludźmi, którzy budują komunizm, sprawdzenie, że to, co piszą gazety, o czym opowiadają prelegenci, do czego wzywają działacze polityczni i kierownicy państwa ludowego, że to wszystko jest prawda przerastająca po wielekroć nasze o niej wyobrażenia — oto, co stanowi najdonioślejszą rewolucję w życiu każdego chłopa — po przekroczeniu przez niego granicy ZSRR.

Pierwszą bodaj próbą pokazania takiej wycieczki przede wszystkim od strony człowieka i jego przeżyć, jego zdobyczy i przemiany — jest świeżo wydana przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą książka Józefa Ozgi Michalskiego „Niezwykła podróż".

Niezwykła podróż... ale i nieszablonowa książka. Autor podjął się bowiem ambitnego zadania opowiedzenia barwnie, przystępnie, a jednocześnie treściwie o podróży czterdziestoosobowej delegacji chłopów polskich do Związku Radzieckiego.

Podróż dostarczyła obfitego materiału. Delegacja chłopów polskich zwiedziła szereg kołchozów na południu ZSRR w dorzeczu Donu. Z zebranych spostrzeżeń o życiu i pracy w kołchozach mógł powstać obszerny tom. Ozga Michalski starał się ukazać nie tylko życie radzieckie. Konsekwentnie realizował również zamierzenie przedstawienia naszych chłopów z Kieleckiego, Lubelskiego, Pomorza Zachodniego i innych miejscowości — ich wrażeń i refleksji w wyniku zetknięcia się z nową dla nich radziecką rzeczywistością.

Autor „Niezwykłej podróży" nie napisał ani uczonego sprawozdania, ani dziennikarskiego zbioru reportaży. Nie kusił się też o literacko potraktowany dziennik podróży. Znał adresata. Chciał, aby jego opis podróży polskich chłopów do radzieckich kołchozów dotarł do jaknajszerszych mas odbiorców i aby był czytany z zaciekawieniem; z takim zaciekawieniem, z jakim wysłuchuje się opowiadania dobrze znanego przyjaciela lub sąsiada o jego wycieczce w nieznane strony.

Autor opowiada o podróży najchętniej ustami swych kolegów — współuczestników podróży. Dzięki temu czytelnik szybko zaznajamia się nie tylko z nazwiskami członków delegacji, lecz poznaje także ich charaktery, upodobania, a nawet fragmenty życiorysów. Dzięki temu stają mu się bliscy; ich reakcje na poszczególne epizody życia chłopów radzieckich docierają do niego bardziej bezpośrednio.

To bardzo bezpośrednie obcowanie czytelnika z psychiką odbiorców wrażeń upodabnia kontakt z książką Ozgi Michalskiego do lektury interesującej powieści.

Do kapitalnych wprost anegdot, które na długo pozostaną w wyobraźni czytelnika, a świetnie charakteryzują obyczajowe przemiany naszej wsi, można m. in. zaliczyć przygodę z sumem, co to — „miał pięć cetnarów" i którego łapał na próżno wikary przez szereg lat i straż pożarna, a którego po wojnie właściciel stawu, w którym ten rybi potwór przebywał, zapisał... do spółdzielni produkcyjnej. Takich kapitalnych anegdot czy też obrazków obyczajowych, opowiedzianych z humorem jest w książce Ozgi Michalskiego sporo.

Każdy fragment książki, każdy rozdział zazwyczaj zaledwie kilkustronicowy, jest plastycznym obrazem jakiegoś epizodu podróży, która prowadziła wycieczkę chłopów polskich przez Smoleńsk, Moskwę, nad Don i Morze Azowskie. W ramy poszczególnych obrazów zamyka autor szerokie tło radzieckiego krajobrazu, odmienionego pracą radzieckich robotników, inżynierów i kołchoźników, jakiś zawsze charakterystyczny szczegół z życia kołchozowego lub budownictwa komunistycznego, rys obyczajowy, ułatwiający zrozumienie „społeczeństwa" socjalistycznego i jednocześnie jakby wniosek — refleksje delegatów polskich. Dzięki takiej kompozycji czytelnik już po przeczytaniu kilku stronic staje się współuczestnikiem podróży, nieomal sąsiadem rezolutnej, energicznej koleżanki Radzewicz, czy Podolskiego — Kaszuba z Kartuz, czy też Maćkowskiego — „który — tak sobie — z niczego, kawały wyprowadza".

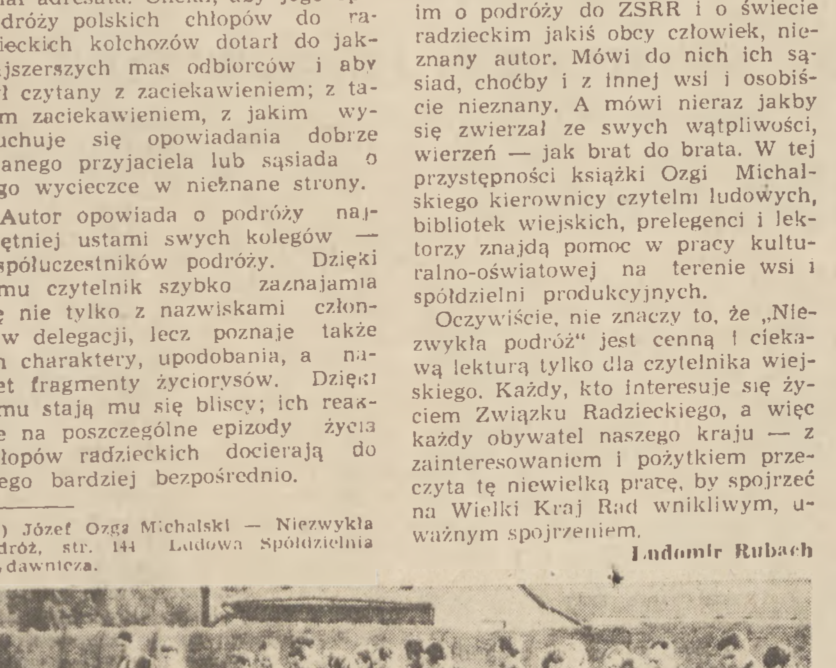
Książka Ozgi Michalskiego, pomimo braku odsyłaczy, statystycznych danych, uczonych wyjaśnień — ustami polskich delegatów i ludzi radzieckich przynosi niejedną cenną wiadomość o pracy i życiu w kołchozach i ich organizacji. Zawsze jednak — w zestawieniu z wrażeniem, jakie ten fakt wywoływał w umyśle naszych delegatów. Jest więc praca Ozgi Michalskiego przy całej swej barwności prozatorskiej — i również dzięki niej — cennym dokumentem, uwierzytelniającym wartość podróży polskich chłopów do ZSRR, dokumentem historycznym w tym znaczeniu, że pozostawiającym przyszłym badaczom naszej epoki wielkich przemian obfity materiał obyczajowy — materiał, który ułatwia zrozumienie, jak zwycięski socjalizm zmienia psychikę jego adeptów, jak ją wzbogaca i rewolucjonizuje.

Książka Ozgi Michalskiego zasługuje z tego choćby względu na rozpowszechnienie. Dla tych czytelników-chłopów, którzy w ZSRR nie byli, a chcą i powinni o Kraju Rad i życiu radzieckich kołchoźników wiedzieć jak najwięcej, będzie dobrym i barwnym informatorem Nie mówi im o podróży do ZSRR i o świecie radzieckim jakiś obcy człowiek, nieznany autor. Mówi do nich ich sąsiad, choćby i z innej wsi i osobiście nieznany. A mówi nieraz jakby się zwierzał ze swych wątpliwości, wierzeń — jak brat do brata. W tej przystępności książki Ozgi Michalskiego kierownicy czytelni ludowych, bibliotek wiejskich, prelegenci i lektorzy znajdą pomoc w pracy kulturalno-oświatowej na terenie wsi i spółdzielni produkcyjnych.

Oczywiście, nie znaczy to, że „Niezwykła podróż" jest cenną i ciekawą lekturą tylko dla czytelnika wiejskiego. Każdy, kto interesuje się życiem Związku Radzieckiego, a więc każdy obywatel naszego kraju — z zainteresowaniem i pożytkiem przeczyta tę niewielką pracę, by spojrzeć na Wielki Kraj Rad wnikliwym, uważnym spojrzeniem.

Ludomir Rubach

*) Józef Ozga Michalski — Niezwykła podróż, str. 144 Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza.



Dużym zainteresowaniem cieszyła się wspaniała kapusta hodowana na specjalnie ogrzewanym gruncie

OŁES GONCZAR

MIKITA BRATUŚ

Poniżej drukujemy fragment opowiadania Olesa Gonczara „Mikita Bratuś". Bohater opowiadania, Mikita Bratuś, jest ogrodnikiem w kołchozowym sadzie, miczurinowcem, od lat pracującym nad problemem hodowania nowych gatunków drzew owocowych.

Pierwsze próby w tym kierunku Bratuś rozpoczął jeszcze na swej indywidualnej gospodarce. Jednak dopiero gospodarka kolektywna pozwoliła mu wyjść ze swoimi doświadczeniami na wielkie obszary ogrodów kołchozowych. Mikita zwraca się o pomoc do Miczurina pokazuje mu wyhodowane przez siebie owoce, przedstawia swoje plany.

Osiągnięcie Mikity staje się jednym ze źródeł bogactw „Czerwonego Zaporożca". Ale Mikicie to nie wystarcza. Hodując nowe odmiany drzew owocowych, walcząc o wprowadzenie w ukraińskim kołchozie hodowli cytryn, chce aby sad nie tylko bogacił jego „Czerwonego Zaporożca"; chce także, aby sadzonki nowych odmian smacznych owoców znalazły się w ogródkach górników sąsiedniej kopalni, aby sadziły je w swoich dalekich sadach jego uczennice z kursu miczurinowskiego, aby nowe sadzonki stały się własnością wszystkich.

Opowiadanie Olesa Gonczara ukazuje piękną i trudną pracę sadowników-miczurinowców, ich walkę z nieżyczliwym klimatem, twórcze wykorzystanie znajomości praw przyrody i najważniejsze: wielką społeczną doniosłość doświadczeń i osiągnięć miczurinowców. Opowiadanie Gonczara ukazujące wielką rolę ruchu miczurinowskiego w gospodarce kołchozu, mówiące o trudnościach, jakie spotkał na swej drodze Mikita, bliskie jest swoją treścią doświadczeniom i pracy naszych miczurinowców.

W następnych numerach ukażą się dalsze fragmenty opowiadania Gonczara. Zwracamy się do naszych czytelników — szczególnie tych, którzy pracują w kółkach miczurinowskich — z prośbą, aby nadesłali nasuwające się im w związku z opowiadaniem Gonczara uwagi. Aby napisali, co ze swego życia znaleźli w tym opowiadaniu, co sądzą o pracy Mikity i postępowaniu Zuzia i jakie perspektywy dla swojej pracy widzą w utworze Gonczara.

REDAKCJA

DZISIAJ otwieramy w sadzie rowy inspektowe. Całą zimę były one nakryte ramami i rogożami i przywalone ziemią. Rowy, głębokie, długie, ściany wyłożone słomianymi matami i pobielone. To nasz gaj cytrynowy, podziemny, wiecznie zielony gaj podzwrotnikowy.

Całą zimę przesiedziały moje cytrusy nie podlewane, w ciemnych rowach zasypanych śniegiem. Taką noc nie tylko roślinie, ale nawet człowiekowi nie łatwo byłoby przetrzymać... Noc wielomiesięczna, jak na biegunie. Rzecz jasna, że i w ciągu zimy nieraz zaglądałem do nich, dawałem im w czasie odwilży pożywkę światła, ale dzisiaj...

Owieram, a serce się we mnie tłucze. A dziewczęta, moje zawsze czujne kadry, uczennice i pomocnice, obstąpiły mnie wokoło. Stoję z zapartym oddechem.

Czy też przyjęły się nasze podzwrotnikowce, czy się nie przyjęły?

Otwieram ramę uroczyście, niby drzwi do swojej przyszłości. Figlarne promyki słońca, wyprzedzając mnie, już skoczyły do rowu i igrają w białym podziemnym pałacu, oświetlając szeregi naszych maleńkich południowców.

— Zielone! Żyją!

Za chwilę jesteśmy już w rowie, badamy liście. Jakkolwiek osłabły w ciągu zimy, ale nie opadły, nie zmarzły. Czuję w nich żywe tętno, a to najważniejsze. Ziemia pod cytrusami stwardniała i zbiła się — drzewka wyssały wszystką wilgoć. Teraz podlejemy je. Będziecie, drzewka, miały wodę i świeże powietrze, światła i ciepła otrzymacie dowoli. Mamy przed sobą wspaniałe, słoneczne dni.

— Widzicie, dziewczęta, praca nasza nie poszła na marne. Czyż nie mówiłem, że na naszych gruntach i w naszych warunkach wszystko wyrośnie śpiewająco. Nie przyjmie się u nas tylko jedno drzewo...

— Jakie, Mikito Iwanowiczu?

— To, którego nie zasadzimy. Tylko to drzewko nie wyrośnie.

Pomocnice moje cieszą się z cytrusów nie mniej ode mnie. I radość ich jest całkowicie uzasadniona. Czyż nie walczyły o tę szkółkę cytrynową tak, jak ja? Czy nie kopały tych rowów tak, że pęcherze im się na rękach porobiły?

Rozkopują ziemię, unoszą ramy i odgrażają się wesoło:

— Chodźmy, sprowadźmy tu tego laskonogiego pesymistę! Zegnij się w pałąk, niewierny Tomaszu, właź do rowu i patrz: żyją nasze cytrynki!

Wiem, komu odgrażają się moje komsomołki. Chodzi o naszego szanownego buchaltera, Charłampa Dawydowicza Zuzia. On to właśnie w roku ubiegłym oponował, gdy na



zebraniu zarządu postawiłem kwestię hodowli cytryn.

— My was bardzo szanujemy, Mikito Iwanowiczu — prawił wówczas Ziuź. — Nikt nie zaprzeczy, że wasze gatunki czereśni i jabłek już dają kołchozowi „Czerwony Zaporożec" znaczne dochody, że dzięki nim znaleźliśmy się wśród kołchozów - milionerów. Zjeżdżają się do was samochodami uczeni, w gazetach nazywają was wojującym miczurinowcem, chwalą wasz talent... Wszystko to prawda, przyznajemy. Ale to, co wy nam, Mikito Iwanowiczu teraz w zapale chcecie narzucić, to już... wybaczcie!

— Przecież planu hodowli cytryn nikt nam nie wyznaczył. Po cóż więc mamy się pchać, wyprzedzać naszych południowych sąsiadów? Po co się śpieszyć? Czyż sad nasz jest może mały, czy nie zasypuje nas owocami? Niech więc próbują ci, którzy nie mają czym się pochwalić, ci z południa. Zobaczymy jak im się uda. Roślina nowa, nikomu u nas nieznana. A uda im się — tym lepiej. Chętnie skorzystamy z ich doświadczenia. Bo kto z nas jest przeciwnikiem nowatorstwa w przyrodzie? A cytrynami, towarzysze, sam z własnej inicjatywy bardzo się interesowałem. Próbowałem wyhodować cytrynkę u siebie w chacie, w donicy. Wszystko jej dawałem, herbatą z cukrem poiłem, no i co z tego wyszło?... Zimą zmarniała mi, a na wiosnę straciła liście. A dlaczego? Dlatego, że niewłaściwa strefa.

— Nie ty pierwszy, towarzyszu Ziuź — powiadam — trafiłeś palcem w niebo. Póki taki mądrala, jak ty, stoi na brzegu i peroruje, durny tymczasem z powodzeniem rzeczkę wbród przebrnie. Pamiętasz, kiedyś mieliśmy takich sceptyków, którzy mówili, że i winogrona u nas się nie przyjmą. I ze wszystkich zakamarków krakali na Mikitę, gdy sadził pierwsze winorośle. A gdzie są dzisiaj ci znawcy, gdzie są te autorytety? Dawaj ich tu, potopię ich w winie z naszych nowych, wytrzymałych na zimno gatunków winogron!

— I rzeczywiście, potopiłbyś — rzuca uwagę przewodniczący kołchozu, towarzysz Mieleszko. — Ale czy to się opłaci?

— Albo — wyjaśniam dalej — weźmy sprawę bawełny. W pierwszych latach, gdy nasze południe ukraińskie rozpoczynało przyswajanie sobie tej rośliny, zza każdego węgła syczeli na nas: „Niewłaściwa strefa! Nie dojrzeje! Nie popękają torebki przed mrozami!". Czy było tak, towarzyszu Ziuź?

— Wtedy robili to z premedytacją — groźnie wierci się na krześle Ziuź — proszę, tylko bez takich porównań!

— Wtedy z premedytacją, a teraz ty, pewnie bez premedytacji, już sam znosiłeś kilka par spodni, utkanych właśnie z naszej, ukraińskiej bawełny, w którą nie wierzyliście!

— To jednak niezupełnie to samo — rzuca Ziuź.

— A właśnie — mówię — to samo.

Wówczas on, biedaczysko, usiłował zbić mnie z tropu teorią. Przypiątał naszą średnią temperaturę, operował powszechnie znanymi danymi o ilości dni słonecznych, niezbędnych dla normalnego dojrzewania cytryn.

Nagadał się i czeka z miną zwycięzcy.

Ledwie zdążyłem usta otworzyć, by połknąć Ziuzia... połknąć towarzysza Ziuzia wraz z jego okularami i bocianimi nogami, gdy gdzieś z sieni, wyprzedzając mnie, odezwały się głosy:

— W brakujące dni my same grzać je będziemy!

— Ogrzejemy, niech tylko wyrosną.

To one, te oto moje komsomołki pośpieszyły mi na odsiecz.

Prawie cała moja brygada tłoczyła się i gniotła w sieni.

— Tak, takie już wy jesteście, że ogrzejecie! — żałośnie powiedział przewodniczący, a sam, widzę, zerka na Lidkę Tarasownę, co też ona powie. Agronom Lidia Tarasowna Basztowa jest naszym organizatorem partyjnym i z jej zdaniem nawet Mieleszko bardzo się liczy. Ale Basztowa jest kobietą opanowaną i nigdy nie śpieszy się z wyrażeniem swego zdania. Taki już jest styl jej pracy.

— Formułujcie, towarzyszu Bratuś, swój plan — spokojnie zwraca się do mnie.

Więc przedstawiam. Robi się zupełnie cicho, a Ziuź tymczasem stuka na liczydłach, coś dodaje, coś odejmuje... Gdy skończyłem, on znowu żąda głosu.

— Jeżeli obliczymy ilość roboczodniówek, potrzebnych na te prace — oświadcza Ziuź — i przełożymy to na gotówkę, to wyjdzie okrąglutka liczba z czterema zerami, wyrażająca dziesięć tysięcy. Powiedzcie, towarzyszu Bratuś, ile cytryn można nabyć w handlu za dziesięć tysięcy?

— Myślę, że ze trzy lata pilibyśmy herbatę z tymi cytrynami — robi uwagę Mieleszko, wyraźnie przytłoczony czterema zerami Ziuzia. — A gdybyśmy posłali swego człowieka do naszych przyjaciół w Gruzji, do rejonu Macharedzewskiego i zamówili hurtem... mielibyśmy pełną gwarancję.

— I to bez żadnego ryzyka — żywo nalega Ziuź. — Zresztą, nasz „Czerwony Zaporożec" nie jest stacją naukowo-doświadczalną, by po dziesięć tysięcy pchać w jakieś eksperymenty.

A Lidia Tarasowna tymczasem słucha i tylko oczy mruży. Później poprosiła o głos.

— Złymi bylibyśmy gospodarzami, gdybyśmy po dziesięć tysięcy wyrzucali na wiatr. — Ale co, jeżeli nie na wiatr, towarzyszu Ziuź? Co, jeśli w przyszłości właśnie u nas, w naszej Kawonówce, w naszym „Czerwonym Zaporożcu" powstanie nowy, odporny na zimno, gatunek ukraińskich cytryn? Jakimi tysiącami określicie wówczas wartość ich dla nas i dla całego kraju? Wyobraźcie sobie, co to znaczy posiadanie własnych plantacji cytryn. Moje dziecko, lub wasze, gdy zachoruje, otrzyma zbawczy owoc i wyzdrowieje. Czy to, waszym zdaniem, drogo? Co może być droższego nad zdrowie naszych dzieci?

— Usiłujcie — mówiła dalej Lidia Tarasowna, jakby nie słysząc słów Mieleszki — policzyć na palcach to, na co potrzebne są może liczby astronomiczne. Przecież chodzi tu o głębokie przekształcenie jednego z najpoważniejszych praw przyrody, o rozpowszechnienie roślin podzwrotnikowych na zupełnie nowych dla nich terenach! Pomyślcie tylko, towarzyszu: cytryny na Ukrainie! Czy było to kiedyś możliwe?! Toż powinniśmy nazwać tę roślinę najbardziej zaszczytnym imieniem.

Tak powiedziała Lidia Tarasowna: najbardziej zaszczytnym imieniem! Za tę subtelność zacząłem ją szanować więcej jeszcze, niż dotychczas.

I wtedy już postanowiłem: gdy tylko doczekam się swych cytryn, pierwszą cząsteczkę ofiaruje Lidii Tarasownie, za jej szlachetne postępowe poglądy.

przełożył **Henryk Kuncman**

TADEUSZ SŁUPECKI

TRZY TYGODNIE W PGR

18 lipca 1953

Żniwa na Warmii rozpoczynają się zwykle 2 lub 3 tygodnie później niż na innych terenach Polski. Toteż w warsztatach zespołu PGR w Małdytach (pow. Morąg, woj. Olsztyn) gdzie przebywam od kilku dni — trwa jeszcze gorączka przedżniwnych przygotowań: w biurze — narady, dyrektor bez przerwy depcze po piętach kierownikom poszczególnych działów i gospodarstw. „Róbcie wszystko — powiada — aby żniwa u nas „grały"!

18 lipca 1953

— Zacznijcie od planisty — poradził mi wczoraj dyrektor. — Cyfry dadzą wam ramy, które wypełnicie sobie potem ludźmi i problemami...

A więc cyfry.

Zespół PGR w Małdytach obejmuje 10 gospodarstw i blisko 4 i pół tysiąca hektarów ziemi, z tego ok. 3 tysięcy ha ornej, reszta — to łąki, pastwiska, lasy i nieużytki. Plony zbóż i okopowych — wprawdzie nie najgorsze — są rokrocznie niższe od zaplanowanych, choć planowanie jest raczej ostrożne. Bydła i trzody chlewnej wypada tu 32,4 sztuki na 100 ha ziemi, podczas gdy mogłaby ona wyżywić 55 sztuk. Ale robotników rolnych również wypada jedynie od 4 do 6, gdy powinno ich być 15...

Planista lubi swoje cyfry i tabele i zna je rzeczywiście doskonale.

— Aha — podchwyciłem domyślnie, gdy zamknął książkę ze swymi tabelami. — Źródłem wszystkich niedociągnięć w gospodarce waszego PGR jest brak ludzi do pracy...

— Iii, panie... — uśmiechnął się planista. — Co tu dużo gadać. Brak w PGR robotników, ale gorsze, że brak w nim starych fachowców. Tu, panie literacie, trudności są niemałe. Obszar mamy duży, bo złączono nam dziesięć gospodarstw. Potrzebni nam są rolnicy bardzo doświadczeni. Spodziewamy się, że niejeden agrotechnik który dziś jeszcze studiuje, będzie za rok-dwa pracować z nami. A wtedy na pewno osiągniemy wyższy poziom gospodarki. Ziemia lubi troskliwą opiekę dobrego gospodarza, a takich gospodarzy w Polsce wciąż jeszcze jest za mało.

Po tej rozmowie zrozumiałem, że planowanie i cyfry — jak to zauważył dyrektor — dadzą mi rzeczywiście tylko ogólne ramy do obrazu PGR. Ludzi i problemów trzeba szukać gdzie indziej...

19 lipca 1953

Jest pogodna lipcowa niedziela. Szosą do kościoła w Zajezierzu idą odświętnie wystrojeni chłopi i kobiety. W dyrektorskim „Willisie" ciasno, jest nas pięciu: szofer, dyrektor, główny mechanik, przedstawiciel Komitetu Powiatowego Partii i ja. Wczoraj rano odbyła się w dyrekcji zespołu odprawa prelegentów, którzy z kolei obsłużyli wieczorem ostatnie przedżniwne narady robocze w poszczególnych gospodarstwach. Wszędzie zgodzono się, dla szybszego zakończenia żniw, pracować w niedzielę. Jedziemy teraz zobaczyć, jak to wygląda w praktyce.

W pierwszym gospodarstwie robota idzie nieźle. Ale w drugim, w Bądkach, już gorzej. Wśród łanów dojrzałego żyta widać tylko jeden traktor. Na dziedzińcu po-junkrowskiego pałacyku — cisza. Kierownik gospodarstwa, Zieliński, odświętnie ubrany, szykuje się do chrzcin wnuka. Zaczynamy rozumieć sytuację i wołamy brygadzistę traktorzystów. Okazuje się, że rano stawili się do pracy i tu traktorzyści i kosiarze, którzy mieli obkosić brzegi żyta pod traktorzy, ale brygadzista zwolnił ich do domu.

— Jutro raz dwa zboże obciachamy. A dzisiaj niedziela, każdy chce odpocząć, pójść do kościoła, albo sobie opału na zimę przygotować — tłumaczy się teraz, zawstydzony.

— Ale chleba to każdy jeść nie pragnie? — zapytuje dyrektor i tłumaczy cierpliwie, dlaczego to każdy robotnik pegeerowski jest zainteresowany w najszybszym sprzęcie zboża i dostarczeniu go miastom. Wreszcie zaczyna się szukanie kosiarzy, bez których traktory nie wyjdą na pole.

— Stawaj, chłopie, kochany, na uszach czy na czym chcesz, a ja ci stąd się nie ruszę, póki traktory nie wyjdą na pole — dogaduje przyjaźnie dyrektor brygadziście, zacinając się nieco przy niektórych słowach. — Zapomniałeś, ile to ziarna zmarnowało się w czasie zeszłorocznych deszczów? I ty, sekretarz oddziałowej organizacji partyjnej, zamiast sam ludzi podciągać, marnujesz ich inicjatywę i zapał?

Po dwóch godzinach traktory ruszają na pole, wlokąc za sobą snopowiązałki. Za nimi wyrusza nasz „Willis". Jedziemy dalej.

21 lipca 1953

— Dyrektor wyjechał — poinformował mnie Mędryk, gdy zmierzałem jak zwykle do biura, aby zapoznać się z najświeższymi meldunkami z przebiegu akcji żniwnej, składanych dyrekcji zespołu telefonicznie przez kierowników gospodarstw.

Mędryk, pełniący w PGR funkcję technika weterynaryjnego, budzi sympatię od pierwszego spojrzenia. Ma lat 35, młodą, równie sympatyczną żonę i dużo zapału do swej pracy. Przed wojną przeszedł twardą szkołę biedniackiego dziecka na wsi, po wojnie poszedł na roczny kurs weterynaryjny. Jest ze swej pracy zadowolony, ale chciałby się uczyć dalej.

23 lipca 1953

Rano rozmawiałem z dyrektorem, ale krótko. Jedzie na odprawę do Ornety, gdzie mieści się Zarząd Okręgowy PGR, potem do Komitetu Powiatowego w Morągu, potem do gospodarstwa w Budniewie, gdzie junacy z SP skarżą się na kiepskie wyżywienie — i z tego powodu bumelują.

Jadę więc w teren z agronomem. Od kilku dni pogoda wybitnie się pogorszyła, padają częste deszcze. Trzeba dopilnować wykorzystania każdej pogodnej godziny.

W Budniewie idzie nienajgorzej. Gospodarstwem kieruje autochton, Franciszek Orłowski, przedwojenny członek Związku Polaków w Niemczech. Pracę organizuje sobie nienajgorzej. Dwa traktory koszą oddzielone ścieżką łany żyta, trzeci łan kładzie się pod kosami kosiarzy, wśród których są także pracownicy biurowi. Tu widocznie rozumieją znaczenie walki o chleb. Okazuje się jednak, że żony pegeerowców nie wyszły do pracy. Dlaczego? Bo przedszkolanka wyjechała na trzydniową konferencję i nie wydała żywności dla dzieci.

W Sasinie „nawala" znów snopowiązałka, wyremontowana niedawno przez warsztaty dyrekcji zespołu. Główny mechanik, równie pręd-

TADEUSZ PAPIER

WIECZORNA ROZMOWA

BYŁ późny wieczór. U Koselarza zeszli się wszyscy sąsiedzi z Wroniego zakrętu.

Oprócz młodszego Jagusztyna u Koselarzy był także Wrona oraz stary Zgorzelak. Często schodzili się tak wieczorami i wypełniali czas grą w karty, albo różnymi pogaduszkami. Można było iść wprawdzie do świetlicy, przy szkole, ale przecież i takie spotkania u Koselarzy, czy Wrony, miały swoje uroki. Człowiek się pośmieje, pogada o tym i owym, a jeżeli jest powód, to i wyżali.

Chłopi zaczęli już czwartą partię durnia. Dziadek Koselarz był w swoim żywiole. Śmiał się z łysego swata i podkpiwał z jego złej gry. Zgorzelak już trzy razy z rzędu został „durniem". Stary Jakub używał sobie:

— Kto by się spodziewał, że mam w rodzinie takiego...

— Musiał się na was zapatrzyć! — mruknął basem Szymon.

Świat za oknem czerniał coraz bardziej. Nie widać było nawet najbliższych drzew. Katarzyna spojrzała z niepokojem w czarne kwadraty okien i mruknęła:

— Antka nie widać...

— Nic mu się nie stanie! — odparł szorstko Ignacy.

— A bo to w tych szkołach dzisiaj to nawet w nocy nie dają spokoju! — zauważył Szymon.

— Bo to lekcje jeszcze mają? — zdziwił się Zgorzelak.

— Gdzie tam! Harcerze jakiś występ szykują... czy coś tam... Na Pierwszy Maja...

— Patrzcie!

— Chłopak po całych dniach zalatany...

— Co tam! Dobrze mu to zrobi!

— Ja tam bez szkół wyrosłem! — mruknął trochę zaczepnie dziadek Koselarz.

— Widać to! Po prawdzie to samo pomyślałem — odciął się po raz pierwszy tego wieczoru Zgorzelak i zatarł radośnie ręce. Nie zawsze mu się udawało zwyciężyć na słowa starego Koselarza.

— Wszystko jedno, chłopak powinien już być w domu — rzekł dziadek nieco poważnie, kryjąc tym zmieszanie.

— Wy też powinniście już pójść. Późno jest — zwróciła się do ojca Katarzyna.

— O wa! Jak to starym dyryguje! — oburzył się Zgorzelak.

— A pewnie. Matka sama w domu.

— Nie bój się, dziecino! Matki nikt nie ugryzie. Co innego ciebie! — wyrwał się dziadek Koselarz.

— Macie ochotę? — zażartował Szymon.

— A ty nie. Jak tylko Ignacy gdzie pójdzie, to kijem go nie odgoni...

— A co? Nie wolno mu? — zaśmiała się Katarzyna.

— Patrzcie! Jaka śmiała!

— Małżeństwo nie uprząż! Nie zrzucisz go!

— Ale do cudzego wozu można doprząc...

— Ech ty, diablico!

Ignacy przyłapał w tej chwili jej czujny wzrok. Udał, że tego nie dostrzega.

Ignacy zapalił papierosa, nogi wyciągnął przed siebie i wymruczał obojętnie:

— Jakoś nie widać Bożkowskiego...

— A bo co? — dopytywał się Wrona.

— Co ta beczka łoju ma tu robić?

— Miał chodzić dzisiaj z listą.

— To też głupota! — oburzył się Zgorzelak. — Co wy chcecie? Sprzeciwiacie się, żeby osuszyć pola?

— Kto tak mówi? — krzyknął basem Jagusztyn.

— A no, wy tak powiadacie...

— Nasłuchaliście się, bajek, Zgorzelaku! Opowiadają wam Bóg wie co na tej Wygnance i wy w to wierzycie...

— Jakże?

— A tak!

— Mówili przecież...

— Po waszej stronie wszystko mówią! — oburzył się Szymon. — Nawet to, że mój teść wybił okna u Jadwiszczaka...

Zeszłej nocy ktoś potłukł kamieniami wszystkie szyby w mieszkaniu przewodniczącego spółdzielni. Musiał to uczynić ktoś ze znajomych, bo pies nie narobił hałasu. Dopiero po wypadku, kiedy wszyscy się pobudzili, Jadwiszczak spuścił psa z łańcucha, ale było już za późno.

Podejrzenie padło na Maćkowskiego, który wracał tej nocy późno z miasta. Maćkowski nie pokazywał się nazajutrz we wsi. Leżał w łóżku, tłumacząc się chorobą. Kowal Jagusztyn twierdził, że był to z góry ukartowany wybieg. Wiadomo było, że Maćkowski zawsze wracał pijany z miasta. A po pijanemu najczęściej człowiek robi to, co po trzeźwemu wygaduje...

Zgorzelak umilkł zmieszany. On to, idąc tej nocy do krowy, która się miała cielić, zauważył wóz Maćkowskiego i dał znać o tym Jadwiszczakowi. Katarzyna dostrzegła zakłopotanie ojca i odezwała się szorstko:

— Będziecie dochodzić, kto wybił? Drań jakiś i tyle!

— Ciekawość jednak, kto to zrobił? — zastanowił się Wrona. — Warto by takiego rozumu nauczyć...

— Zęby wybiję temu, kto puścił fałszywe oskarżenie!

— Jakby tu powiedzieć...e...e... — zaczął się znowu jąkać Zgorzelak.

— Tylko nie próbuj wybijać! — pogroził Koselarz, domyślając się niepokoju teścia.

Katarzyna spojrzała na niego z wdzięcznością, ale on odwrócił oczy i począł szukać tytoniu.

Dziadek chciał coś odpowiedzieć, ale zerwał się naraz, bo na podwórzu dało się słyszeć ujadanie psa, a jednocześnie głośne krzyki i przekleństwa. Stary wybiegł na dwór. Po chwili wprowadził do chałupy trzęsącego się trochę Bożkowskiego.

— Moglibyście wiązać to bydlę! — zawołał ze złością Bożkowski.

— He! Powiadacie! To mądry pies! Złego nie ugryzie...

Dziadek głaskał bury łeb Filuta, który wcisnął się do izby i badawczo spoglądał na Bożkowskiego, jakby miał ochotę rzucić się na niego.

— Mądry, nie mądry, ale człowiekowi przejść nie da!

— A bo nawet i pies odgadł, za czym chodzisz... — zaśmiał się zjadliwie Wrona.

Katarzyna podstawiła gościowi stołek i Bożkowski usiadł z ulgą. Otarł spocone czoło i począł zaraz grzebać w szerokiej, parcianej teczce, którą rozłożył na stole.

— Cóż to? Po kolendzie? — rzucił Wrona.

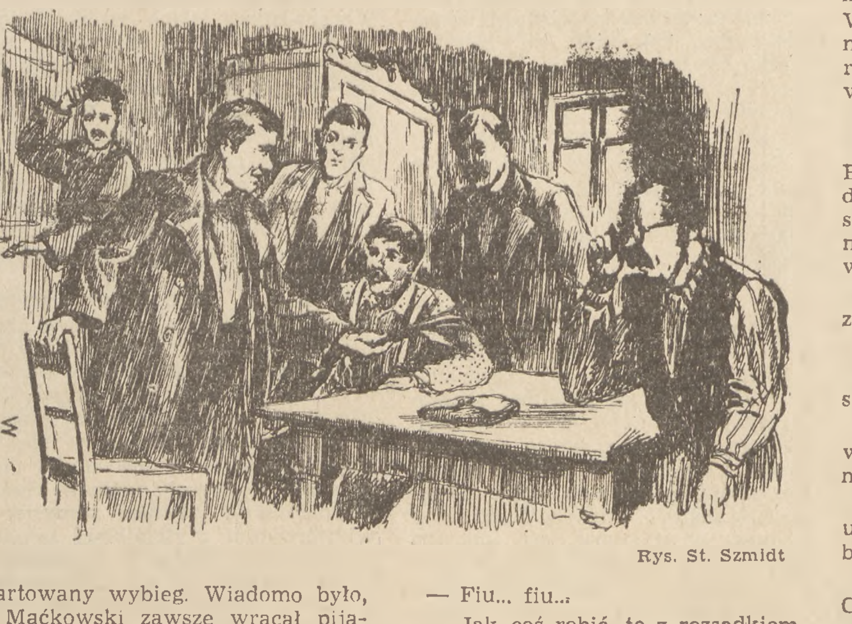
— Dużo uzbierałeś? — zawtórował dziadek.

Chłopi zaśmiali się, ale Bożkowski nie stracił rezonu. Na okrągłej twarzy zagrał przebiegły uśmiech. Wyseplenił po swojemu:

— No! Nie wygląda najlepiej... Myślę, że u was trochę utarguję...

— O, wiadomo! — wtrącił z przekąsem Wrona.

— Mam już dwadzieścia podpisów... Jadwiszczaki muszą się z nami liczyć...



Rys. St. Szmidt

— Fiu... fiu...

— Jak coś robić, to z rozsądkiem, a nie tak jak oni...

— Przeczytałbyś, co tam pisze — wtrącił Zgorzelak.

Bożkowski wyjął z kamizelki druciane okulary, założył na nos i wolno odczytał pismo, które zredagował Czapla w sprawie regulacji rzeki. Wrona pochylił nad stołem chudą, jakby schorowaną twarz, i mruknął:

— Patrzcie! To i nawet Maćkowski się podpisał... A wy Bożkowski gdzie?...

— Ee... co ja?... — zmieszał się naraz Bożkowski. — No widzisz przecie... nie uchylam się... zbieram podpisy... No, Zgorzelaku!... Zamieszaliście się z tymi na tej Wygnance, ale przecież wyście nasz...

Zgorzelak począł kręcić się niespokojnie.

— Eee, wiecie, po prawdzie, to ja ta się nie chcę mieszać w żadną politykę...

— A to nie polityka! To nasza sprawa!

— Ja tam nie wiem...

— To chcecie, żeby były większe podatki?

— Jakie znowu podatki!? — oburzyła się Katarzyna.

— Większe ciężary na gospodarstwo, to tak, jak większe podatki... Nie wszystko jedno?... Jak przystaniemy na projekt spółdzielców, to wtedy dopiero nas przyciśnie... Podpisujcie, Zgorzelaku...

Bożkowski podsuwał pióro do rąk starego, ale Zgorzelak począł rozglądać się za czapką. Nosił taką starą, wytartą baranichę. Nałożył ją sobie na głowę i wymruczał, nie patrząc na nikogo:

— No to ja już sobie pójdę... Późno...

Bożkowski rozłożył bezradnie ręce. Zaśmiał się nieszczerze.

— Ha! Jak komu wygodnie... Wy, Wrona?...

Nikt nie spodziewał się, że Wrona w ten sposób wybuchnie. We wsi uważano go za człowieka spokojnego. Nikomu nie ubliżył, z nikim się nie kłócił. Był najbliższym sąsiadem Ignacego. Pomagali sobie wzajemnie z Koselarzami w cięższych robotach. Razem obchodzili święta i uroczystości rodzinne. Mówiono we wsi, że Wrona nie podejmie żadnej decyzji, zanim nie poradzi się Koselarzy. Wyśmiewano się z tego nawet. Starego dziadka przezywali niektórzy adwokatem.

Wrona nie mieszał się do rozmowy Zgorzelaka z Bożkowskim. Pykał tylko z nieodłącznej fajeczki. Wezwany przez Bożkowskiego, splunął na ziemię, wstał, położył szeroko ręce na rozłożonym papierze i powiedział dobitnie:

— Tych śmieci nie podpiszę!

W izbie zapanowała nagła cisza. Bożkowski cofnął się mimowolnie do tyłu, natychmiast jednak przyskoczył do stołu, oderwał ręce Wrony od pisma. Bał się, żeby tamten w gniewie nie podarł.

Ignacy poderwał się. Twarz miał zmienioną. Krzyknął:

— Józek!

Ale Wrona zwrócił się do Bożkowskiego:

— Myślicie, że nie przejrzałem was... To wam się nie uda... Ludzi mamić... Zdrajcy!

— Józek! Co ty?! — Koselarz uchwycił Wronę i przyciągnął do siebie. — Kto zdrajca?! Mów!

— I ty też! Za kim trzymacie?! Co znaczy ta lista?! Za Czaplą trzymacie! Czapla chce swoje stawy ratować, a wy nie rozumiecie tego! Idźcie mu tyłek polizać!

— Józek! Dość tego!

— A dość tego! Dotąd byłem głupi, ale teraz nie będę.

Bożkowski już trochę ochłonął. Odstąpił na bok i zjadliwie zapytał:

— A ty komu liżesz tyłek? Spółdzielcom? Idziesz przeciw gromadzie!...

— Tfu! Wy i gromada!

— Józek!

Wrona oderwał ręce Koselarza od siebie, rozepchnął chłopów i wyszedł.

Ignacy trząsł się. Postępek przyjaciela wytrącił go z równowagi. Mógłby nie podpisać, tak, jak Zgorzelak, każdy ma przecież swoje zdanie. Ale obrzucić jeszcze wymysłami? A siedział cicho cały wieczór, grał w karty, jakby nic, i dopiero, kiedy Bożkowski przyszedł, rozgadał się, jakby go kto nakręcił... „On tu umyślnie przyszedł" — przeszła go naraz myśl. „Może zmówił się z Jadwiszczakiem?"...

Bożkowski podszedł do niego.

— Uspokój się, Ignacy! Wiadomo, rzekę trzeba uregulować. Ale nie w ten sposób, w jaki chce Jadwiszczak... To zguba dla nas...

Tadeusz Papier

STANISŁAW SIEKIERSKI

PRÓBA REHABILITACJI

Bogaty dorobek radykalnego ruchu ludowego lat międzywojennych nie doczekał się u nas właściwego, pełnego opracowania historycznego, a i w beletrystyce traktowany był najczęściej marginesowo, na peryferiach innych zagadnień. Stan to niczym nieusprawiedliwiony; nieusprawiedliwiony tym bardziej, że w latach trzydziestych chłopi potrafili zdecydowanie przeciwstawić się rosnącej fali faszyzmu i znaleźć wspólną platformę porozumienia z klasą robotniczą już nie tylko na drodze indywidualnych kontaktów ale poprzez wspólny front ludzi pracy w walce z wyzyskiem i faszyzmem.

Próby ukazania tych walk kończyły się często albo zanegowaniem sensu ruchu ludowego i sprowadzeniem go do roli utopijnego szukania miejsca w ustroju kapitalistycznym, albo też sprowadzały ruch ludowy do jedynie realnej siły, mogącej rozstrzygnąć wszystkie zagadnienia społeczne i gospodarcze ówczesnej rzeczywistości. Problem jest bardzo skomplikowany, jak w ogóle zagadnienia związane ze wsią, jej strukturą ekonomiczną i klasową. Stąd wywodzi się niewątpliwie i cała złożoność ruchu ludowego zgrupowanego wokół stronnictw ludowych i „Wici".

Złożoność ta spowodowała, że pisarz, obawiając się zagubienia, upraszczał sprawę ruchu ludowego w bardzo dowolny sposób i wypaczał dość często jego istotę, sprowadzając go do witosowskiej idei kułaczenia. Na tym tle zbiór opowiadań Weroniki Wilbik - Jagusztynowej zapowiada się bardzo ciekawie i już od pierwszych stron narzuca czytelnikowi konieczność ustosunkowania się do przedstawianych zagadnień.

Zbiór opowiadań podejmuje węzłowe zagadnienia ruchu ludowego w okresie międzywojennym w jego kulminacyjnych punktach w chwili wybuchu strajków i tzw. „pacyfikacji".

Jagusztynowa nie ukazuje procesu kształtowania się konfliktu, tylko krótkie spięcia rozładowujące istniejący w obiektywnej rzeczywistości konflikt. Skrótowość ta bardzo zaciążyła na całokształcie książki.

Próba szerszego umotywowania przez autorkę w pierwszym jej opowiadaniu przyczyn strajku chłopskiego wypadła zbyt ogólnikowo. Monolog chłopa idącego do pracy, polegający na oskarżaniu sanacji i pogróżkach, że „przyjdzie dzień zapłaty" — wypada sztucznie i zaskakuje czytelnika. Przesunięcie ciężaru zagadnienia na wymianę strzałów spłyciło trochę problemy walki chłopstwa z aparatem sanacji, w ten sposób autorka uchyliła się częściowo od ukazania innego sposobu walki pociągającej mniej ofiar, a bardziej skutecznej i częściej stosowanej w ówczesnym układzie sił. Zagadnień tych autorka nie gubi zupełnie, próbuje je ukazać w opowiadaniu „Nie jesteśmy sami". Jest to najlepsze opowiadanie cyklu. Autorka zarysowała tu bardzo ciekawie problem sojuszu robotniczo - chłopskiego, wprowadziła bardzo typową formę walki, jaką był strajk chłopski prowadzony bardzo często w ciężkich walkach nie tylko z policją ale z kułakiem i nieuświadomieniem biedoty. Autorce udało się ukazać przekonywająco trzy postawy chłopów: świadomych aktywistów, wahających się, obałamuconych współtowarzyszy oraz sabotujących kułaków.

Śmiałe i ciekawe są opowiadania z okresu zagospodarowywania ziem odzyskanych oraz pierwszego okresu spółdzielczości produkcyjnej. Jagusztynowa bardzo ciekawie zarysowywa tu postać tkacza, jego wahania i załamania; tak jak wszystkie postacie, i postać tkacza ma jednak wiele niezrozumiałych skrótów, niedomówień i braków. Można to położyć na karb ogólnej fragmentaryczności opowiadań, omawianej już na początku rozważań.

Poważnym zagadnieniem, które wyłania się ze wszystkich opowiadań, jest typ bohatera pozytywnego. Mimo to, że większość opowiadań można by połączyć wątkiem fabularnym, różnicowanie bohaterów jest posunięte bardzo daleko; występuje ich bardzo wielu w różnych okolicznościach. Rzecz charakterystyczna: wszyscy ci, którzy stają na czele strajków, czy też na czele oddziałów BCh, by później stanąć w pierwszych szeregach osiedleńców i propagatorów spółdzielczości produkcyjnej, to dawni działacze „Wici" lub Stronnictwa Ludowego.

Autorka każdego swego bohatera zaopatruje w oręż wykuty w walce z wrogiem, w walce wywodzącej się z radykalnego ruchu ludowego.

Jagusztynowa zupełnie świadomie decyduje się na wybór bohatera spośród tzw. ludowców (zawsze jednak ludowców radykalnych). Stara się ukazać jego właściwą rolę w całokształcie stosunków społeczno-ekonomicznych tego okresu, stara się prawidłowo (chociaż czasami deklaratywnie) o przestrzeganie istoty przodownictwa klasy robotniczej w walce o wyzwolenie społeczne. Stara się także ukazać i prawicowe kierownictwo stronnictwa, które najbardziej radykalnych działaczy uważa za zdrajców sprawy ludowej.

Omawiana tu książka Jagusztynowej nie jest jałową relacją, lecz dynamicznymi, skrótowymi scenami, pełnymi siły mobilizującej.

Należy oczekiwać od autorki nowej powieści o tematyce, którą autorka niewątpliwie zna, a której należy się pełne bogate opracowanie artystyczne.

Stanisław Siekierski

*) Weronika Wilbik - Jagusztynowa — „Nie jesteśmy sami". W-wa, 1953. „Czytelnik".

ki w mowie, co w robocie, zrzuca marynarkę i przez dobrą godzinę poci się nad maszyną. W Polwitach — kierownik, zamiast robić podorywki, wypożyczył najsilniejszy traktor jakimś okolicznym kułakom, w zamian za obietnicę pomocy przy zwózce pegeerowskiego zboża. W Bądkach ktoś ukradł nocą z pozostawionej na polu bez opieki, największej, traktorowej snopowiązałki, wałek od elewatora i w ten sposób ją unieruchomił. Na szczęście brygadzista wziął sobie sprawę mocno do serca i w chwili naszego wyjazdu z gospodarstwa wrócił z dorobionym przez siebie nowym wałkiem...

Agronom jest człowiekiem starszym, zrównoważonym, może trochę za mało energicznym, ale lubiącym swój zawód. Jest najbardziej oczytany w całym PGR, kupuje ciekawsze nowości beletrystyczne i fachowe, ale trzyma je nie rozcięte w szafie.

— Czytać na dobre zaczynam dopiero późną jesienią — wyjaśnia. Teraz nie pozwala na to nadmiar pracy. Gdy uczelnie wyszkolą nowych agronomów...

Leje rzęsisty deszcz. Wracamy do domu.

28 lipca 1953

Deszcz pada niemal codziennie. Mokre snopy nasiąkają świeżą wilgocią, snopowiązałki nie mogą ciąć przemoczonego zboża. Wprawdzie żyto już skoszono, ale zwieźć zdołano tylko część. Pszenica, jęczmień, owies i mieszanki zbożowe skoszono tylko częściowo. Podorywek wykonano niewiele. Zawiniła w tym pogoda, ale trochę i owe nastroje samouspokajania, jakie w poszczególnych gospodarstwach pojawiły się z rozpoczęciem żniw.

Siedzę w pegeerowskiej bibliotece i wspólnie z bibliotekarką przeglądam karty czytelnicze. W samych Małdytach, gdzie mieści się wielo-osobowe biuro dyrekcji zespołu, książki wypożycza jedynie 18 pracowników umysłowych, 18 fizycznych i 16 dzieci pegeerowców. Z tego wielu 1 książkę wypożycza raz na 6 miesięcy a nawet na... rok! W punktach bibliotecznych poszczególnych gospodarstw jest jeszcze gorzej.

Największym powodzeniem cieszy się beletrystyka: Kraszewski i radzieckie powieści wojenne, no i te „o miłości". Nie mam nic przeciwko tym pozycjom, ale niepokoi mnie fakt, że wśród czytelników dorosłych, są tacy, jak np. interesujący się poza tym doświadczeniami z elektrycznością szwajcar obory w Małdytach, Kowalikowski, który czyta przeważnie... bajki dla dzieci! Fachowej literatury rolniczej, mimo że jest jej zatrzęsienie, nie czyta nikt. A jednocześnie wszyscy wiedzą o niedostatecznym poziomie fachowym robotników PGR.

Oczywiście, część pracowników biurowych jak dyrektor, agronom, kasjerka, księgowy Bogdanowicz i paru innych kupuje sobie pewną ilość książek fachowych czy beletrystycznych, względnie wymienia je między sobą, ale nie może to zmienić ogólnego stanu czytelnictwa w PGR Małdyty. Do tego dochodzi absolutny brak życia świetlicowego, którego zorganizowaniem „nie ma się kto zająć". Jest wprawdzie duża świetlica, gdzie raz czy dwa na tydzień stałe kino wiejskie wyświetla mocno przestarzałe filmy, ale są to jedyne prawie imprezy kulturalne w Małdytach, jeśli nie liczyć okolicznościowych akademii, organizowanych byle jak i byle prędzej.

Organizacja ZMP, która ma najwięcej danych, aby wnieść ożywienie w kulturalny zastój PGR w Małdytach, jakoś nie kwapi się do tego, wyżywając się jedynie w grze w „siatkówkę" i na swych rzadkich zebraniach. Nikt też jakoś nie pomyślał, aby do roboty kulturalnej wśród robotników pegeerowskich wciągnąć licznych studentów-praktykantów z Wyższej Szkoły Rolniczej w Olsztynie czy z liceów rolniczych. Dlatego pijaństwo, choć mocno ukrócone przez dyrektora, zastępuje tu często brakujące rozrywki kulturalne...

3 sierpnia 1953

Dyrektor Bastkowski ma lat dwadzieścia parę. Jest chłopskim dzieckiem z garwolińskiego, którego rodzicom nigdy zapewne się nie śniło, że syn ich będzie kiedyś kierował wielkim gospodarstwem państwowym. Ma zgrabną, krzepką figurę i bystre oczy.

Zaglądam w jego notes, gdzie notuje oczekujące go sprawy i czytam: „Dopilnować sporządzenia list płacy. Zadbać o drobne na wypłatę dla robotników". „Weranda w Budniewie się przewraca. Załatwić z architektem". „Kierownik O. pijany, ukarać w myśl dyscypliny pracy", „Gazety dla SP.".

Jednocześnie do gabinetu wchodzą i wychodzą interesanci. Księgowy, który przez 2 dni upijał się do nieprzytomności, a teraz tłumaczy się „nerwową chorobą". Kierownik gospodarstwa, którego autorytet podkopuje złośliwy pracownik.

Traktorzysta, który dwa lata mieszkał w małym mieszkanku i naraz w czasie żniw żąda natychmiastowej zmiany na większe, bo w przeciwnym razie „poprosi o zwolnienie". Potem przychodzi rymarz w sprawie pasów, kierownik działu gospodarczego w sprawie łóżek, jacyś inspektorzy, kasjerka, przewodniczący rady rolnej, sekretarz organizacji partyjnej...

— Panie dyrektorze, zabrakło gwoździ...

— Dyrektorze! Trzeba jechać na stację i powitać nowy transport SP...

— Towarzyszu dyrektorze, w Dużym Lesie kartofle wciąż zarośnięte. Trzeba zmobilizować załogę, bo na jesień wykopiemy tylko chwast...

Patrzę na ten potok ludzi i spraw, zalewający gabinet dyrektora i zaczynam rozumieć, dlaczego ten człowiek za mało czyta i gdzie leży źródło niedociągnięć w gospodarce PGR. W braku kolektywu kierowniczego, który by zdjął z ramion młodego dyrektora część obowiązków, dźwiganych przez niego za innych. W braku szkolenia posiadanych kadr (zimą PGR prowadzi szkolenie, ale — jak dotąd — daje ono słabe wyniki). Wreszcie w słabej pracy organizacji partyjnej i związkowej, które nie potrafią poprowadzić wśród załogi PGR skutecznej pracy wychowawczej, ideowo-politycznej, a o kulturalnej w ogóle zapominają...

— Ci ludzie mnie zamęczą! — wyrwało się dyrektorowi, gdy wreszcie zostaliśmy we dwójkę. — Na każdym kroku sam i sam! Wczoraj, np. dopiero ja zawróciłem traktorzystę z drogi do Morąga, gdzie miał odstawić transport zboża. Wybrał się, proszę was, z jedną przyczepą, jakby nie mógł równie dobrze pociągnąć trzech. Przecież w ten sposób zarobi potrójnie, bo liczą mu za każdą tonę przewiezionego ziarna osobno, a my oszczędzamy cenne paliwo i czas. Ale sam na taki pomysł nie wpadnie!

— Bo, dyrektorze — odpowiedziałem — stopień zaradności i pomysłowości robotnika, wyrażający się czynionymi przez niego w pracy usprawnieniami i zainteresowaniami zależy ściśle od stopnia jego świadomości politycznej i poziomu kulturalnego.

Za oknem pada deszcz i moknie niesprzątnięte na czas zboże.

Tadeusz Słupecki

MICHAŁ WARDĘGA

KUŁACKIE WYKRĘTY

Uchwała Prezydium Rządu w sprawie ulg podatkowych dla niektórych gospodarstw rolnych jest zupełnie jasna. Mówi ona o pomocy dla tych gospodarstw, które znalazły się w trudnych warunkach gospodarczych i materialnych i nie są w stanie wywiązać się w pełni z zaległości podatkowych.

Jak w niektórych gminach rozumieją treść tej uchwały właściciele dużych gospodarstw — mówią o tym napływające do naszej redakcji korespondencje z terenu.

Już w następnym dniu po ogłoszeniu uchwały, Prezydium GRN w Wejchodży pow. płońskiego zgłosili się tacy oto „interesanci":

— Ja w sprawie ulg podatkowych — oświadczył zażywny petent o mocno zaokrąglonej twarzy.

— Znalazł się obywatel w trudnych warunkach? — zapytał sekretarz.

— Po prostu wegetuję!

— Pewnie choroby, gradobicie, pomór...

— Od tego Bóg strzegł, ale i tak sytuacja tragiczna.

— Z jakiego powodu?

— Czy zawsze musi być powód? Bywa, panie, i bez powodu.

— Nazwisko obywatela?

— Jan Dadacz.

— Cóż się to u pana dzieje, panie Dadacz: wegetuje pan na 24 ha dobrej ziemi!

— Dziwi to pana? Hektary w złe lata pieniędzy nie rodzą...

Następnym petentem w tejże GRN był 15-hektarowy kułak Stanisław Szmulewicz. Po nim zgłosił się właściciel jedenastohektarowego gospodarstwa, Jan Ciurzyński.

— Z uchwały Rządu — informował Ciurzyńskiego urzędnik — mogą korzystać tylko ci gospodarze, na których spadły klęski żywiołowe, nieszczęścia w rodzinie lub powstały inne trudności. U pana, na szczęście, rodzina zdrowa, ziemia dobra, urodzaj niezły...

— Ale sytuacja taka, że z tegorocznych zbiorów mogłem Państwu sprzedać tylko trzy metry!

— Trzy metry z jedenastohektarowego gospodarstwa?

— Nieurodzaj, panie, nieurodzaj. Zawiniły latoś zimna wiosna, gorące lato, małe opady...

— Dlaczego więc Julian Pisarski z Przybojewa nic o tych „klęskowych" zjawiskach nie mówi? Wszak chyba dla jego 5 hektarów ani wiosna nie była cieplejsza, ani lato chłodniejsze...

— Toteż i Pisarski nic nie ma!

— Powiada pan: „i Pisarski nic nie ma", a jednak odstawił on do punktu skupu całe 100 procent swego planu! 14,5 metra sprzedał Pisarski Państwu z tegorocznych zbiorów! Jakże się zatem naprawdę rzeczy u was mają, panie Ciurzyński? Z 11 hektarów zdołał pan odstawić zaledwie trzysta kilo, gdy Pisarski z 5 hektarów odstawił 1.450! A przecież ziemia u was jednakowa...

Podobne obrazki moglibyśmy odtwarzać w każdej gminnej radzie narodowej. Bo wszędzie można tam spotkać kandydatów do ulg podatkowych — przede wszystkim spośród kułaków. Nie poprzestają oni zresztą jedynie na składaniu wniosków. Naszeptują także chłopom mało- i średniorolnym, aby nie śpieszyli się z odwożeniem ziarna do punktów skupu, by narzekali na nieurodzaj, skarżyli się na brak maszyn omłotowych itp. Wszystko to oczywiście — w celu podtrzymania swych kułackich wykrętów przed wykonaniem obywatelskiego obowiązku wobec Państwa.

W gminie Wejchodże zabiegi kułaków są w zarodku paraliżowane przez aktyw gromadzki i szeroką pracę uświadamiającą, kierowaną przez Komitet Powiatowy Partii i Gminną Radę Narodową. Nie wszędzie jednak da się to zaobserwować. Są gminy, gdzie kułacy w swej wrogiej robocie nie spotykają się z przeciwdziałaniem. Są GRN-y, które nie wykazują swego stosunku do kułackich zabiegów. I z tym trzeba walczyć.

Mało- i średniorolni chłopi powinni bacznie czuwać nad właściwym stosowaniem omawianej uchwały. Kontrola przez rady narodowe pracy organów samorządu gminnego; zgodna postawa pracującego chłopstwa do kułaków, którzy myślą o sabotowaniu obowiązkowego skupu — zapewni, że z ulg korzystać będą wyłącznie chłopi w pełni do tego uprawnieni, krętacze zaś i spekulanci osiągną tylko jedno: poznają istotę sprawiedliwego ludowego prawa.

Michał Wardęga

IRENA MACIEJEWSKA

Powieść o narodzinach socjalistycznego narodu łotewskiego*)

WILIS Łacis — jeden z czołowych prozaików radzieckiej Łotwy, należy do pokolenia pisarzy, ktorzy twórczość swoją rozpoczynali w warunkach kapitalistycznego reżimu. Pierwsze literackie próby Łacisa przypadają na koniec lat dwudziestych; w latach 30 powstaje jego głośna powieść „Syn rybaka" **) oraz szereg opowiadań i nowel, nasyconych gorącym protestem przeciwko ustrojowi krzywdy i poniżenia.

Łacis — syn portowego robotnika, wychowany w jednej z proletariackich dzielnic Rygi, aktywny działacz Komunistycznej Partii Łotwy, od samego początku swej działalności pisarskiej silnie był związany z ideologią walczącego proletariatu. Bliski kontakt z masami uciskanymi narodu kształtował realistyczne oblicze jego twórczości, która bez reszty poświęcona była prostemu człowiekowi i jego sprawom. Demaskowała ona wyzysk i zło, ale nie zdobyła się na stworzenie bohatera nowego typu, bohatera-rewolucjonisty, który zdolny byłby do zburzenia starego, znienawidzonego świata i podjęcia walki o nowy ustrój

Nowy typ bohatera a wraz z nim nowe, w pełni oparte na naukowych podstawach spojrzenie na rzeczywistość przynosi trylogia powieściowa pt. „Nawałnica" której kolejne tomy powstały w latach 1947 — 1949. „Nawałnica" to pełen rozmachu epos, opowiadający o walce narodu łotewskiego z rodzimym i obcym faszyzmem, to epos o powstawaniu socjalistycznego narodu łotewskiego zjednoczonego więzami braterstwa z narodami ZSRR.

Centralnym zagadnieniem powieści Łacisa jest walka Komunistycznej Partii Łotwy o socjalizm, widziana w szerokiej, historycznej perspektywie walki starego świata z nowym, walki faszyzmu z socjalizmem.

Głównymi bohaterami powieści Łacis czyni przedstawicieli n o w e g o, tworzącego się świata socjalizmu. Obóz imperializmu zajmuje wprawdzie w powieści Łacisa wiele miejsca, ale ma on wszystkie cechy klasy odchodzącej. Losy bohaterów obydwu światów rozwijają się w powieści równolegle — z tym wszakże, że bohaterowie walczący o socjalizm z dnia na dzień rosną i rozszerzając krąg swego oddziaływania, stają się potęgą — zaś możliwości świata burżuazyjnego kurczą się. Nie znaczy to jednak, by burżuazja ta była klasą dobrowolnie ustępującą z pola walki. Po utracie własnego aparatu ucisku, jakim dla klas rządzących było burżuazyjne państewko łotewskie, przedstawiciele tych klas idą bez żadnych oporów na usługi hitleryzmu.

Powieść Łacisa konsekwentnie demaskuje sens pseudopatriotycznego frazesu, którym szermuje burżuazja dla osłonięcia swojej perfidnej gry, wymierzonej przeciw własnemu ludowi. Zarówno Edyta Lanka, jak Herman Wilde — mimo wszystkich pozorów — są tylko zdrajcami i podłymi sprzedawczykami własnego narodu. Po upadku Hitlera, z którym wiązali swe nadzieje na utrzymanie władzy, przechodzą na służbę imperialistycznego wywiadu amerykańskiego, by opóźniać i przeszkadzać w utrwaleniu władzy radzieckiej.

Przekonywająco i żywo pokazała „Nawałnica" postaci walczących o przyszłość narodu komunistów łotewskich — i dlatego uznana została za dojrzałe dzieło realizmu socjalistycznego, dlatego odznaczona została Nagrodą Stalinowską. Głęboka i wszechstronna znajomość życia pozwoliła pisarzowi na stworzenie tak pięknych i tak życiowo prawdziwych sylwetek bohaterów, jak Andrzej Silenijek, Oja Spare czy Marta Purgaliis. Każdą z tych postaci cechuje inny charakter a przecież we wszystkich odnaleźć można te same cechy. Ta sama, bolszewicka odwaga i wytrwałość charakteryzuje postawę Andrzeja Silenijeka — działacza politycznego, potem dowódcę frontowego, co i chłopkę Martę Purgaliis, walczącą o kołchozową wieś łotewską.

Silenijek jest surowy, odważny i energiczny, a jednocześnie jakiś onieśmielony. Jest świetnym dowódcą; ma ogromny wpływ na ludzi, wpływ, którego tajemnica kryje się w tym, że potrafi oddziaływać i pociągać swoim przykładem. Niezapomniana, a jakże inna jest Oja Spare! Wkłada ona w sprawę nie tylko cały swój talent organizatora, ale także ogromną kobiecą wrażliwość. Serdeczna jej troska bardzo potrzebna jest ludziom. Świadectwem wielkiego talentu Łacisa są jego kreacje postaci ludzkich, postaci, których różnorodność, prawdziwość i pełnia zachwyca czytelnika. Pozostają one na długo w pamięci mimo, że jest ich takie mnóstwo.

Jedynie sylwetka Pramnijeka zarysowana jest niekonsekwentnie i budzi sprzeciwy. Ten uczciwy i zdolny artysta, który w czasie dyktatury Ulmanisa odnosi się do komunistów więcej niż przychylnie, którego prześladowania zbliżają coraz bardziej w stronę ruchu robotniczego, przez cały czas marzy o społeczeństwie, w którym artysta będzie mógł twórczością swoją służyć ludowi. Władza radziecka urzeczywistnia jego marzenia, otwierając przed nim szerokie możliwosci twórcze. Ale wtedy ni stąd ni zowąd okazuje się, że ten człowiek w gruncie rzeczy nic nie wie, że wszystkie jego poglądy na sztukę są fałszywe. W najbardziej nieoczekiwany sposób, z chwilą wkroczenia wojsk hitlerowskich na Łotwę, zaczyna znowu wierzyć w dawno przezwyciężone „teoryjki" o sztuce poza historią itp. Na fakt ten zwróciła uwagę krytyka radziecka w szerokiej dyskusji nad „Nawałnicą". Pramnijek jest zresztą jedyną w książce postacią tego typu. Pozostałe są w swej wymowie jednoznaczne.

Sylwetki głównych bohaterów powieści obrazują bogactwo i piękno człowieka epoki socjalizmu, mówią o jego nieugiętej woli walki, o jego ofiarnej pracy, o twórczym entuzjazmie i młodzieńczym zapale. Sylwetki dalszoplanowe rozszerzają i uzupełnieją tę ogólną wiedzę o społeczeństwie, ktorą szkicują losy głównych bohaterów. Postać Fani Bunte jest ciekawym zobrazowaniem procesu przechodzenia drobnomieszczaństwa na stronę klasy robotniczej w warunkach jej zwycięstwa.

Parobek Bumbijew ze swoim wiecznym lękiem przed zwierzchnikami pokazuje, jak bardzo silne są przeżytki starego w świadomości ludzi, pokazuje jak trudna, ale i konieczna jest walka ze skrzywieniami i wypaczeniami ludzkiego charakteru.

Z głęboką wnikliwością w kreśleniu postaci ludzkich, w odtwarzaniu ich czynów i przeżyć wiąże się sprawa optymizmu „Nawałnicy", który tchnie z powieści poprzez wszystkie postacie rodzącego się świata.



Waga tej wiary w socjalistyczną przyszłość narodu jest tym większa, że „Nawałnica" nie należy do książek wstydliwych, książek, które omijają i zasłaniają przed czytelnikiem trudności życia. „Nawałnica" to odważna powieść o dzielnych i wytrwałych ludziach radzieckich. Poprzez losy swoich bohaterów pokazuje ona, że zwycięstwo ustroju socjalistycznego dokonuje się poprzez ciężką, wytrwałą pracę i walkę. W walce z hitleryzmem giną najlepsi synowie ojczyzny — ginie Silenijek, Purgaliis, Lidia, Anna Lidak.

Pokojowa praca nad zbudowaniem ustroju socjalistycznego również nie jest łatwa. Świadectwem tego jest tragiczna śmierć starego Zakisa — pioniera socjalistycznej przebudowy wsi. Ale jednocześnie Łacis potrafi pokazać proces wyrastania nowych ludzi, potrafi pokazać, jak w pracy i walce rodzi się nowy, socjalistyczny człowiek, jak w codziennym trudzie kształtują się podstawy socjalistycznej moralności, podstawy naukowego, marksistowskiego światopoglądu. Trudności i przeciwieństwa nie łamią radzieckich ludzi. Świadomość celu, o który walczą, świadomość, że słuszność jest po ich stronie, jest gwarancją ich rozwoju: „Z początku taki żołnierz wydaje się zupełnie przeciętny — myśli Silenijek — zdawałoby się, że nie ma w nim nic obiecującego... I oto pewnego pięknego dnia nagle wychodzi na jaw, że wyrósł ze swego munduru, że jest on już na niego za ciasny... i chcąc nie chcąc trzeba mu dać jakąś poważniejszą funkcję, żeby mógł wykazać swoje zdolności. A on się nie zatrzymuje, idzie krok za krokiem wyżej, coraz wyżej..."

„Nawałnica" oddając prawdę o rzeczywistych siłach wroga i jego rozpaczliwej walce, odtworzyła tym samym bohaterstwo i siłę ludzi radzieckich, którzy potrafili rozgromić faszyzm. Dzięki temu „Nawałnica" jest pełnym i prawdziwym obrazem walki narodów Związku Radzieckiego o przyszłość. Jest obrazem walki narodu łotewskiego — ścisłymi więzami złączonego z innymi narodami Związku Radzieckiego — o socjalizm.

W postaci „Nawałnicy" czytelnik dostaje do rąk piękną i interesującą książkę. Życzyć by sobie jedynie należało, by przy przekładzie następnej pozycji Łacisa „K nowomu bieriegu" (Ku nowemu brzegowi) zwrócono baczniejszą uwagę na sprawę przekładu, który w „Nawałnicy" jest w wielu miejscach niedbały. Sądzę, że należałoby również pomyśleć o udostępnieniu czytelnikowi polskiemu twórczości Łacisa z lat 1934-1940. W ten sposób bowiem uzyskalibyśmy pełny obraz twórczości tego niepospolitego pisarza.

Irena Maciejewska

*) Wilis Łacis „Nawałnica". Wyd. „Książka i Wiedza" t. I r. 1950, t. II — r. 1952, t. III — 1953 r.

**) Syn rybaka, t. I — 1933 r., t. II — 1934 rok.



PRZEMYSŁAW BYSTRZYCKI

Dzieje jednego przedstawienia „Zemsty"

WAŻNY był ten poznański teatr, oczekiwany, planowany w rozkładzie zajęć świetlicowego zespołu, jak generalna próba. Z tym jednakże, że terminu trzeba było pilnować jak oka w głowie, bo przegapić łatwo, a później i żal i szkoda i złość na samego siebie.

Marian Szanel — kierownik świetlicy i cudowne wcielenie w jednej osobie reżysera, suflera, inspicjenta i jakie tam są inne jeszcze godności teatralnego przybytku, przygotował zespół pieczołowicie. A więc odbyło się coś w rodzaju odprawy roboczej. Kierownik pouczał młody, ambitny kolektyw jak patrzeć na scenę. Jak patrzeć przez te kilka godzin aby nauczyć się jak najwięcej, by umiejętności reżyserskie i to co określa się poziomem artystycznym móc później przenieść do swojego zespołu. Trudna jest praca zespołu amatorskiego i cenne jest dla niego każde spotkanie z ludźmi zawodowego teatru.

Poznański teatr przyjechać miał do Żeronic z „Zemstą" Fredry — i jak na razie wszystko szło sprawnie, bo rzeczywiście zjawił się w dużym, zielonym autobusie. Sala zapełniała się powoli i światła pogasły — nawet przed oznaczoną godziną. Niewiele — jakieś może pół godziny. Ale właśnie pogasły, by już więcej nie zapalić się tego wieczoru. Wkrótce ludzie przynieśli wiadomość: w dynamomaszynie elektrowni spaliły się jakieś zwoje czy ogniwa, i że nie ma nadziei na prąd w ciągu najbliższych 12 godzin.

Co było robić? Rada w radę i wyjście okazało się jedno. Zebrać ile się da naftowych lamp, oświetlić przede wszystkim scenę i przy takim świetle ujrzeć niefortunne zaloty Papkina, krewkiego Raptusiewicza i zaciętego Rejenta Milczka.

Kierownik świetlicy Szanel dodawał, że i wierności historycznej stanie się zadość, bo elektryki w czasach Papkina nie znano, a prapremiera imć para Aleksandra Fredry też odegrana została nie inaczej niż przy pewnej ilości chybotliwych płomyków w szklanych cylindrach.

Ale racje te i inne jeszcze nie przekonały kierownictwa poznańskiego teatru. Gorąca dyskusja i prośby milkły za kulisami, gdy już wokół robiło się jasno od naftowego światła. Ciemna, wilgotna noc wchłonęła duży zielony autobus. Ludzie stali przed wejściem do budynku, wdychali przykry zapach spalin, z niemniej przykrym osadem goryczy w sercu.

W ten sposób poznańskie pomocne „ramię" nie okazało się pomocne. Do roboty nad „Zemstą" zabrać się trzeba było samemu, z niedużym zapasem doświadczeń. Ambicja kilkudziesięciu żeronickich ludzi nie pozwoliła zasypać gruszek w popiele, i od owej chmurnej jesieni 1952 roku rozpoczęły się próby ze sztuką. Długo w dżdżyste noce paliły się światła w gromadzkiej świetlicy. Spóźnieni mieszkańcy wsi przechodząc drogą wiodącą wzdłuż szkoły mówili: „nasz Szanel pracuje". „Zniknęło karciarstwo i pijaństwo od czasu gdy „nastał" kierownik" — myślała Pelagia Białkowa i z rozrzewnieniem przypominała sobie owe chwile, gdy raz i ją, już blisko 50-letnią gospodynię poproszono do współpracy. Zagrała wtedy nieszczęśliwą matkę Sienkiewiczowskiego Janka muzykanta.

W świetlicy aż kipiało. Na przygotowanie przedstawienia przewidziano okres 2-miesięczny. Po jakimś czasie przyszły próby czytane. Początkowo wolne i niesktadne. Stale trzeba było poprawiać sposob wymowy, zwracać uwagę na płynne ale nie „klepane" wypowiadanie wiersza, dbać o dokładne podawanie końcówek, właściwe akcentowanie wyrazów i zdań — słowem mordęga i huk roboty, ale jakże przyjemnej gdy wreszcie weszli na scenę. Tutaj choć nie było jeszcze dekoracji, a świateł niewiele — czuł się każdy jak przed wypełnioną widownią. Jakiś stołek wyobrażał kawał muru przy którym kręcili się murarze, obok niby to baszta, ale w gruncie rzeczy kawałek pieńka, na którym stanie za chwilę cześnik Raptusiewicz i zawoła grzmiącym głosem o gwintówkę, którą „chce strącić tę makówkę" — głowę Rejenta. Ale w tym gronie nikt na to nie zwraca uwagi. Tutaj nie ma już pracowitego i upartego Rafała Urbana, bardzo zdolnej Leokadii Kaszczyk, lub poważnego 57-letniego Józefa Czepczaka. Jest tylko Papkin, podstolina, rejent i inne osoby fredrowskiej niezapomnianej komedii.

Nadszedł oczekiwany dzień — premiery „Zemsty" w gromadzkiej swietlicy w Żeronicach. Piękne afisze wiszą przed szkołą. Jest prawie cały zespół, ale brak jednej osoby, z obsady sztuki. Padają pytania — gdzie Papkin? (Teraz wołają na siebie nie jak dawniej po nazwisku lub imieniu, ale po prostu: Papkin, Klara, Murarz I). Kierownik kręci się zdenerwowany po niedużej scenie. Stojące już dekoracje jeszcze bardziej zmniejszają przestrzeń. Co robić? — wybuchają gorączkowe pytania. Co się stało z Papkinem? Wyjaśnia się wkrótce, że Urban — Papkin został terminowo zawezwany do powiatu do Turka, i że nie wróci wcześniej, niż za trzy dni. Sytuacja robi się kłopotliwa. Zerwać przedstawienia przecież niesposób, trzeba jakoś ratować honor teatru, postąpić inaczej, niż scena poznańska w ową pamiętną październikową noc. Ba, ratować — ale jak? Papkin to trudna rola. Wprawdzie grający umieją ją kawałkami bo i tekst sztuki mieli cały i obsłuchali się dowoli, ale jeśli ktoś z nich zastąpi Papkina, powstanie wtedy nowa luka itd. bez końca. Błędne koło.

W Żeronicach

A jednak jest wyjście! Nazywa się ono po prostu: Eugeniusz Kmieć. Ten 27-letni chłopak o wspaniałej pamięci uratował żeronicki zespół teatralny. Wtedy na próbie troszkę dłużej siedzieli nad nim, nie nad jego rolą — tę znał wybornie, podobnie zresztą jak każdą inną. Trzeba mu było tylko wyjaśnić, że Papkin to taki „co u pańskiej klamki wisiał" itd. — słowem „ustawić" reżysersko.

*

Premiera „Zemsty" wypadła zadowalająco. Z kierownikiem świetlicy rozmawiałem przed kilkoma dniami, w okresie żniw. Okres gorącej pracy w polu nie tłumił pracy zespołu. Obecnie opracowali „Grube ryby" Bałuckiego i jeżdżą z tym po okolicznych gromadach. Tak zwane warunki techniczne sceny spotykają różne. Czasem stodoła, częściej izba szkolna.

Przemysław Bystrzycki

PIOTR GUZY

CZYTELNICY

CZYTELNICTWO w Żeronicach? Cóż, ja wam mogę najwyżej podać kilka cyfr statystycznych. Obecnie posiadamy w naszym punkcie bibliotecznym 185 książek, czytelników jest około 50. Stałych.

— A mieszkańców w gromadzie?

— Stu pięćdziesięciu, czyli, jak z tego widzicie, co trzeciemu człowiekowi książka nie obca. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że cyfry są suche, nie wiele wam powiedzą. Jeśli chcecie się dowiedzieć jak przebiegał rozwój czytelnictwa, najlepiej zwrócić się do samych ludzi.

Kowalskiego spotkałem na podwórzu, zaprzęgał konie do drabiniastego wozu.

— Więc kierownik was do mnie skierował? Chyba dlatego, że ja od początku... No tak, od wczesnej młodości nie mogłem się obejść bez książki.

Punkt biblioteczny powstał w zimie 1946 roku. Pamiętam, dostaliśmy wtedy z gminy w Turku prawie sto tomów, przeważnie powieści. Z czytelnikami był kłopot, ludzie nie przyzwyczajeni do czytania, kto to dawniej o tym myślał? Kilkunastu się znalazło, to prawda, ale co to jest na całą gromadę! Wiecie, co nam pomogło? Zespół teatralny, który zorganizował kierownik. Już nie pamiętam jaką sztukę wtedy wystawialiśmy, zdaje się, że „Rewizora", tak, tak, „Rewizora". W czasie przerwy w próbach przeglądałem tekst, patrzę na autora: Gogol, nigdy o nim nie słyszałem. Pytam kierownika, czy jeszcze co innego ten Gogol napisał. Po tygodniu dostaliśmy „Martwe dusze". Wziąłem to, czytałem w czasie prób. Ciekawe było, na głos się zaśmiewałem, koledzy prosili, żeby głośno przeczytać. I tak, widzicie, powstał u nas zespół głośnego czytania.

*

Kasprzak opowiedział dalszy ciąg. Kasprzak, trzeba wiedzieć, to starszy człowiek, liczy sobie prawie pięćdziesiątkę.

— Mnie do książki — powiada — nic nie ciągnęło, czasami zaglądało się do kalendarza rolniczego, ale żeby czas tracić nad powieścią, nie, tego u mnie nie było. Rosło się i wychowywało w takich czasach, kiedy książka była luksusem, poza tym — wiecie, jak to przed wojną było. Teraz czytam. Nie wiem, czy wam kierownik mówił, ale ten pomysł, żeby inscenizować fragmenty książek, to był właściwie mój. Poszedłem do świetlicy, a raczej sąsiad Poliński mnie zaciągnął. Była wtedy akurat próba, siedziałem sobie przy szafie z książkami i tak od niechcenia zacząłem grzebać w tych książkach, odczytywać tytuły i jedną zabrałem do domu. „Antek" taki był tytuł. Przeczytałem, a w międzyczasie chodziłem z Polińskim dalej na próby. Wieczory były długie, co miał człowiek robić? Potem przyszło przedstawienie, cała wieś się zebrała, ludziska oknami właziły do środka. Podobało mi się. Wieczorem zacząłem o tym myśleć i tak mi do głowy przyszło, jakby też taki Antek z tej książki wyglądał na scenie. Po kilku dniach poszedłem do kierownika, opowiedziałem mu o tym. Uściskał mnie, mówił, że dobry pomysł, obiecał zrobić z tego sztukę. No i napisał, wystawiliśmy, mój syn w niej grał. A ja już od tego czasu książki czytam jedną po drugiej.

*

O konkursie czytelniczym opowiedział mi Werbiński Edward. Było już pod wieczór, siedzieliśmy na ławce przed domem.

— To, że wzięliśmy udział w konkursie, to rzecz, jakby to powiedzieć, u nas już normalna. Ludzie się rozczytali, nie wiem czy znajdziecie chocby jedną chałupę, gdzie by przynajmniej jeden człowiek nie był członkiem biblioteki. Co najbardziej zadziwia, to że tylu zgłosiło się indywidualnie, poza zespołem. Na przykład, w drugim etapie zespół liczył 12 ludzi, a indywidualnych czytelników było aż 28. W trzecim etapie proporcje się odmieniły, w zespole było tym razem więcej, 35 ludzi, a indywidualnych 25. Rezultaty konkursu? Piłka do siatki i patefon z 24 płytami. Ale nagrody nie są najważniejsze, najważniejsze to to, że ludzie się przyzwyczaili do książki, czytają gazety i kiedy znajdą w nich coś o jakiejś nowej książce, to od razu domagają się, żeby ją sprowadzić do biblioteki. Na tym polega rewolucja. Poziom kulturalny wsi podniósł się, nasza gromada jest przodującą w powiecie tureckim, z planu wywiązujemy się, sami podejmujemy liczne zobowiązania. Cóż jeszcze? Weźcie sprawy rolnicze. Na samym początku były w bibliotece przeważnie powieści, z czasem ludzie zaczęli się domagać książek fachowych. U nas nikt przed wojną nie uprawiał buraka cukrowego, to był niejako monopol wielkich majątków, obecnie prawie połowa gromady rzuciła się na plantacje buraka. Nie wiedzieli jak się do tego zabrać, jasne, nikt ich przed wojną tego nie uczył. Postaraliśmy się o odpowiednie książki, przyjechał do nas agronom z powiatu, zbadał ziemię. Okazało się, że się nadaje. Tak samo rzecz się miała z innymi gałęziami rolnictwa.

*

Wychodziłem do autobusu. Po drodze spotkałem kierownika szkoły, Szanela.

— A z Werbińskim rozmawialiście?

— Tak.

— Widzę po tonie, że o sobie wam nie opowiedział. A to przecież on pierwszy zaczął się interesować uprawą buraka cukrowego, postarał się o książki rolnicze, namówił innych gospodarzy. Teraz zapisał się na korespondencyjny kurs rolniczy w Warszawie. A wiecie, jeszcze w 1947 roku w zimie nikt nie umiał go wciągnąć do biblioteki. Tak, tak zmieniają się ludzie, życie ich zmienia, a oni życie.

Piotr Guzy

Kronika Radziecka

PARTIA — NATCHNIENIE RADZIECKIEJ LITERATURY

W PIĘĆDZIESIĘCIOLECIE KPZR „Litieraturnaja Gazieta" w artykule redakcyjnym podsumowuje rozwój literatury radzieckiej w kręgu opiekunczej działalności Partii. Artykuł wykazuje, na czym polegała kierownicza rola Partii w literaturze, jakim wystąpieniom Lenina i Stalina, jakim rezolucjom KC literatura radziecka zawdzięcza swoje sukcesy. Oczywiście, w ramach kroniki można jedynie z grubsza przytoczyć wywody „Litieraturnoj Gaziety" podkreślając główne zasadnicze związki między literaturą a Partią.

U źródeł rozwoju literatury radzieckiej leżała leninowska teza partyjności, żarliwa troska przywódców Partii, aby dzieło literackie służyło klasie robotniczej i znajdowało wśród robotników współtworców. „Niczego bym tak nie pragnął, o niczym tak wiele nie marzyłem, jak o tym, by mieć możliwości pisania dla robotników" — te głębokie słowa zanotował Lenin jeszcze na zesłaniu w miejscowości Szuszenskoje na Syberii. Przy pomocy Partii pisze Gorki „Matkę", pod opieką Partii powstają pierwsze kadry pisarzy proletariackich. „Postępowi robotnicy powinni posiąść sztukę pisania" — postulował w roku 1908 Stalin w gazecie „Proletariusz bakinski". Wstępny artykuł pierwszego numeru „Prawdy" z roku 1912, pióra Stalina, nawoływał robotników do pisania. W okresie tworzenia się pierwszej kadry proletariackich pisarzy i walki ze schyłkową literaturą burżuazyjną, „Prawda" okazała nowej literaturze ogromną pomoc, uświadamiając pisarzom cele rewolucyjne i wyjaśniając znaczenie postępowej literatury rosyjskiej XIX wieku, co stworzyło pierwsze przesłanki do powstania realizmu socjalistycznego.

Sztuka musi służyć masom pracującym, musi być przez masy zrozumiana i umiłowana — ta leninowska teza legła u podstaw całej polityki Partii w dziedzinie sztuki, u podstaw walki Partii o przodującą postępową literaturę. W publicystyce „Iskry", „Gwiazdy", „Prawdy" i gorkowskiej „Kroniki", w licznych rezolucjach KC KPZR i na zjazdach zasady partyjności literatury stanowiły zasadniczą główną wytyczną dla działalności pisarzy, wytyczną i twórczą inspirację. Po Rewolucji Październikowej VIII Zjazd Partii w 1919 r. uchwala, że „jest rzeczą konieczną otwarcie i udostępnienie masom pracujących wszystkich skarbów sztuki".

W artykule „Zadania związków młodzieży" (1920), w krytyce „Proletkultu" (1920) Partia ustami Lenina ustaliła właściwy stosunek do postępowego dziedzictwa przeszłości. „Kultura proletariacka nie wyskoczyła nie wiadomo skąd, kultura proletariacka powinna być prawidłowym rozwinięciem tych zasobów wiedzy, które ludzkość wypracowała pod jarzmem społeczeństwa kapitalistycznego, społeczeństwa obszarniczego, społeczeństwa biurokratycznego".

Mądra leninowsko-stalinowska polityka narodowościowa zapewniła wszystkim narodom ZSRR niebywały dotąd rozwój kultury. „Proletariacka w swej treści, narodowa w formie — taka jest owa ogólnoludzka kultura do której zmierza socjalizm". (Stalin „O politycznych zadaniach Uniwersytetu Narodów Wschodu". Przemówienie 18 maja 1925 r.).

1 lipca 1925 r. i 23 kwietnia 1932 r. KC KPZR publikuje rezolucje wytyczające drogi rozwoju literatury i sztuki, z największą troskliwością pomaga pisarzom przezwyciężyć błędy lewactwa i zająć właściwe stanowisko — dla dobra Partii i zwycięstwa socjalizmu w ZSRR.

26 października 1932: w mieszkaniu Gorkiego Stalin określił zadania pisarza w społeczeństwie budującym socjalizm, i zdefiniował metodę realizmu socjalistycznego, jako metodę twórczą, charakterystyczną dla epoki socjalizmu.

Pierwszy wszechzwiązkowy zjazd pisarzy radzieckich w 1934 r. wezwał twórców do podjęcia tematyki pracy i budownictwa socjalistycznego, do ukazania nowego bohatera — budowniczego socjalistycznego ustroju. „Głównym bohaterem naszych książek — mówił na zjeździe Gorki — powinna stać się praca, tj. człowiek, którego budują procesy pracy". A. Żdanow na tymże zjeździe zauważył: „Nasz radziecki pisarz czerpie materiał dla swoich artystycznych dzieł, tematykę, obrazy, artystyczny wyraz i mowę z życia i doświadczeń Dnieprostroju i Magnitogorska. Nasz pisarz czerpie swój materiał z bohaterskiej epoki czeluskinowców, z doświadczeń naszych kołchozów, z twórczej działalności, pracy, która wre we wszystkich zakładach naszego kraju. W naszym kraju naczelni bohaterowie literackiego dzieła to aktywni budowniczowie nowego życia — robotnicy i robotnice, kołchoźnicy i kołchoźnice, partyjniacy, pracownicy życia gospodarczego, inżynierowie, komsomolcy, pionierzy. Oto zasadnicze typy i główni bohaterowie naszej radzieckiej literatury... Nasza radziecka literatura potężna jest przez to, że służy naszej sprawie — sprawie socjalistycznego budownictwa".

Natchniona ideą komunizmu, otoczona czujną troską i mądrą opieką Partii — literatura radziecka szeroko odtworzyła bohaterską walkę narodów radzieckich o zwycięstwo proletariatu i zbudowanie socjalizmu. Dała galerię pozytywnych bohaterów, reprezentantów mas pracujących. Stworzyła postaci ideowo i artystycznie nieznane dotąd w literaturze światowej.

Bohater literatury radzieckiej stał się wzorem dla mas pracujących całego świata. W walce o wyzwolenie masy szukały i szukają przykładu oraz pomocy w zmaganiach Własowa („Matka" Gorkiego), Korczagina („Jak hartowała się stal" Ostrowskiego), Dawydowa („Zorany ugór" Szołochowa), Meresjewa („Opowieść o prawdziwym człowieku" Polewoja), Bortnikowa („Żniwa" Nikołajewej) i wielu innych.

Stanowisko, jakie zajmuje w literaturze radzieckiej postać komunisty, budowniczego nowego ustroju i bojownika walki o pokój odpowiada rzeczywistej roli komunistów, przodujących ludzi naszej epoki.

W postaciach komunistów literatura radziecka uogólniła typowe zjawiska bohaterskiej epoki Lenina i Stalina. Podniosła do rangi wskaźników nowego czasu uczucia i myśli komunistów. Stworzyła wzór do naśladowania, pomoc w walce dla mas pracujących, pozostających jeszcze w okowach imperializmu.

Dwukrotna pomoc Partii (w 1946 r. i na XIX Zjeździe) jeszcze bardziej podniosła zaszczytne ideowe znaczenie pisarstwa w ZSRR.

Dzięki pomocy Partii, literatura radziecka stanęła na pierwszej linii światowego frontu walki o pokój i postęp, stała się najbardziej ideową, przodującą literaturą świata.

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

Wśród korespondencji



O CZUJNOŚĆ KLASOWĄ

Pisze nam Władysław Janiczek (Gromniki, pow. Tarnów) o objawach zaniedbywania **czujności klasowej** w jego gminie.

Wiadomą jest rzeczą, że kułak zabiega o to, aby „się wybielić" w opinii gromady, przedstawić siebie jako „ofiarę historii" itp. Takie wystąpy powinny być zawsze i wszędzie natychmiast demaskowane. Nie należy z tym zwlekać do zebrania gromadzkiego, na którym do sprawy zabiorą się aktywiści i działacze.

Praca polityczna aktywistów powinna służyć nieprzerwanemu wzrostowi świadomości pracujących chłopów, utrzymywaniu ich w pogotowiu bojowym, w niesłabnącej czujności. Muszą oni bowiem walczyć codziennie we własnym interesie.

Przykłady Janiczka sięgają do mas szeregowców na froncie wiejskim; dowodzą one wymownie, ze osłabienie czujności klasowej nie tylko umacnia pozycje wroga, ale równocześnie wyrządza krzywdę małorolnym.

Kułak podszczuwa i jawnie przechodzi do intryg przeciwko chłopom pracującym. Oto średniak Józef Chrzanowski z Siemiechowa powiada: „Po co walczyć z kułakiem? Przecież to Polak, jego też Bóg stworzył".

Takie rozumowanie nie znalazło należytej odprawy. Niedoceniono zamętu, jaki kułak wywołał w głowie średniaka swymi pojednawczymi teoryjkami

„Niektórzy średniacy — pisze Janiczek — poczęli „filozofować", że władza „źle robi", ochraniając biedotę i opiekując się nią (pomoc przednówkowa, sąsiedzka i inna), bo w ten sposób pozwala rozpleniać się rzekomym próżniakom, którzy „nie chcą iść do pracy, tylko wołają do władzy: „daj dużo i tanio!" Nawet o ustawie z 3 stycznia niektórzy średniacy mówili: „Dobrze się stało, że podniesiono ceny chleba, bo biedniak nie chciał pracować, mając chleb za darmo". Oto powtórzony przez otumanionych chłopów argument z arsenału polityki burżuazyjnej. — Oto rozwinięty wywód, w którym na jednym końcu stoi „nietykalny kułak" a na drugim — „próżniacka biedota".

A zaczęło się od „litowania się nad kułakiem, od „sąsiedzkiego pobłażania". Wynik? Poniżona i spotwarzona biedota. Czy ma ona pozwolić, aby taka opinia była rozpowszechniana? Ma czekać na zebrania, na aktywistów? Nie! Wszędzie i zawsze winna walczyć we własnym interesie. Bronić swej godności klasowej i pracować dla podniesienia swego honoru.

A cóż mówi małorolny Jan Aleksyk (4 ha) z Siemiechowa? Przedłuża on perfidny wywód kułacki, puszczony między opłotki. Ten wywód ocenia pomoc Państwa Ludowego dla biedoty, jako rzekomo zmarnowany wkład. „Próżniacy (czytaj biedota) to jak beczka bez dna: zawsze im mało". A co na to Aleksyk? „Jak my możemy wytrzymać, kiedy za żyto (100 kg) biorę 63 zł a za 2 kg chleba płacę 6 zł."

Jęczy zatem, ukazując biedniaka tak właśnie, jak przedstawia go oszczerstwo kułackie. Jęczy i przemilcza dobrodziejstwa nowego ustroju. Tym przemilczaniem **lekceważy je** w opinii publicznej, o co właśnie idzie kułakowi. Tym przemilczaniem odrywa się od władzy ludowej i zatraca poczucie wielkiej siły, jaką mu ten związek i ta pomoc już dały. Przecież Aleksyk wykształcił na uniwersytecie córkę a syn jego odbył służbę wojskową; poza tym wybudował sobie dom, mógł zakupić dachówkę i cement...

Aleksyk źle broni swego interesu i honoru swej klasy. Dał się podejść manewrom kułackiej polityki i nieświadomie znalazł się na najdalej wysuniętej linii roboty wroga. Przez Aleksyka woła kułak: „jak możemy wytrzymać!"... Aleksyk powinien mówić do średniaków:

— Co jest naszą siłą? Władza Ludowa! Co nam otwiera drogę do życia? Władza Ludowa i jej polityka! Ale pod warunkiem, że nie damy się opłątać kłamstwom wroga, że nie pozwolimy na wywrotową robotę, która zaczyna się od tego, aby naszą uwagę i czujność odwrócić od istotnego zagrożenia interesów Państwa Ludowego i pracujących chłopów. „Nietykalny kułak" — to np. Wojciech Dubosek z Siemiechowa, który podczas okupacji zabrał biednemu chłopu, Wietecce, jałówkę za 300 kg ziemniaków, jakie pożyczył na przednówku — który zgnoił zboże ukrywając je, ale pełnego skupu nie oddał. „Nietykalny kułak" — to Jan Gnoiński, który płacił biedocie na przednówku za dzień pracy 1 kg bobu.

W. P.

SPRAWY GROMADZKIE

Pozory często mylą

ZAŁÓŻMY, że nauczycielka w Kaczanowie (pow. Września) dobrze uczy; załóżmy, że kierownik PGR Sierniki (woj. bydgoskie) dobrze gospodaruje.

Czy to są wartości wystarczające, aby w okolicy mówiono pozytywnie o szkole i o PGR-rze? Nie wystarczające. Bo PGR-y są nie tylko nową instytucją lecz także — jak je dumnie nazywamy — „twierdzami socjalizmu" na wsi.

Szkoła Polski Ludowej również stała się nową instytucją. I ona, podobnie jak PGR-y, otwiera perspektywę na nowe życie narodu.

Właśnie w szkole stare pokolenie chłopów najszerzej dostrzegło rewolucyjny przewrót. Zrozumiało bowiem, że szkoła na wsi nie jest obecnie ostatnim pułapem wiedzy, ale pierwszym stopniem mocno powiązanych schodów, które prowadzą do wyższych uczelni i do tysięcy zawodów poprzez naukę i kursy zakładowe w pracy.

Wbrew pozorom, chłopi głęboko wnikają w to właśnie, co stanowi **nowe** w takich instytucjach, jak PGR czy szkoła. I boli ich brak w PGR-rze i szkole — **boli niedostatek nowego.**

— PGR — powiadają — to przecież nie dawny folwark z „ordynusami". — I bacznie patrzą, jak tam się zmienia życie: jak z dawnych fornali wyrastają wolni, ambitni ludzie, gospodarze majątku.

Ale gdy nagle rozchodzi się wiadomość, że w Siernikach zachorowało paru robotników, a kierownik nie dał koni do lekarza — (choć miał je zawsze na przyjazd córki ze stacji lub na wyjazd na zabawę) musiało to wywołać ostrą krytykę jego postępowania.

Nowe życie w PGR-ze widać nie tylko w samej gospodarce — w wielkiej produkcji rolnej; sięga ono wyżej, rozwija nowe stosunki między pracownikami. W tych stosunkach ludzie słusznie dopatrują się istoty nowego, socjalistycznego życia.

Dlatego postępowanie kierownika PGR-u Sierniki wywołało podwójną szkodę: oburzyło robotników, oburzyło chłopów i dostarczyło wrogowi argumentów do szkalowania gospodarki PGR.

Nauczycielka w Kaczanowie zamieniła boisko szkolne na łąkę dla swojej krowy. 120 dzieci tłoczy się na podwórku. Dziatwa hoduje przy szkole króliki. Ale trawy i łąki szkolnej tknąć jej nie wolno.

Lekcja gimnastyki stała się fikcją. Na wiejskie boisko jest tak daleko, że dzieci zaledwie zdążają na nie przybiec, a już muszą wracać z powrotem. Napisały one list do „Gromady-Rolnika":

„Pięknie się słyszy i czyta o szkole w Polsce Ludowej" tak się zaczyna ten list. I dzieci przytaczają wypadki świadczące, że walczą o to, aby nauczycielka nie pozbawiała ich tego, co zapewnia im władza ludowa.

Właściwa GRN powinna zająć się zbadaniem postępowania nauczycielki.

Oczekujemy, że zainteresują się nim również władze szkolne.

W. P.

Pora na sąsiadów - przyjaciół

PRZED kilku laty w gromadzie Jaksin, (pow. strzelińskiego) osadzono we wspólnych zabudowaniach niejakiego Bazylkiewicza i wdowę Stopnicką.

W 1948 r. przy komasacji Rada Narodowa budziła w Stopnickiej nadzieję, że wybuduje jej nową zagrodę. Odtąd Bazylkiewicz poczuł się jedynym posiadaczem zabudowań, traktując sąsiadkę, jak komornicę i czyniąc wszystko, by je opuściła.

W ubiegłym roku, przez skopanie w brzuch, krów Stopnickiej doprowadził je do poronienia (w 4 i 7 miesiącu). Ostatnio znowu tak zbił dorosłą córkę wdowy, że obłożnie zachorowała.

Krzyki, przekleństwa i straszenie stały się codziennym chlebem wdowy i jej dwu córek. Do stajni chodzą zawsze we trzy, obawiając się groźnego sąsiada.

Bazylkiewicz jest spryciarzem nie lada. Po każdej większej awanturze pierwszy biegnie do sądu, wyprzedzając 75-letnią, chorą na nogi Stopnicką.

W sądzie mówi się zwykle o „wspólnych kłótniach" i nakłania do pogodzenia.

I tak toczy się sprawa, w której po jednej stronie są córki bite, krowy ronią i życie wypełnia się panicznym strachem, po drugiej — triumfuje Bazylkiewicz.

Milicja interweniowała wielokrotnie. Otwierała stajnię, którą zamykał Bazylkiewicz; przeglądała zeznania weterynarza o skopanych krowach; widziała chorą wskutek pobicia córkę... Nie wiemy, czy i jakie posypały się kary. Jedno jest pewne, że nie przerażają one Bazylkiewicza i nie chronią Stopnickiej od dalszych jego wyczynów.

Zmierza on wyraźnie do zagarnięcia całego gospodarstwa. Zapomniał, że Państwo Ludowe dało mu ziemię i zagrodę.

Chłopi na Ziemiach Odzyskanych, którzy zawdzięczają swój dobrobyt Państwu Ludowemu, przechodzą na gospodarkę spółdzielczą. W pionierskich warunkach, wyrobili oni w sobie zespołową przedsiębiorczość, wysoko podnieśli honor obywatelski. W tym społecznym rozwoju oczyścili stosunki sąsiedzkie z dawnego pieniactwa i kłótni o miedzę, czy zagon...

Bazylkiewicz chce żyć inaczej. Swoim postępowaniem daje on dowody, że pragnie dochrapać się pozycji kułackiej. W kopaniu przezeń krów i konia Stopnickiej, w grożeniu jej siekierą, w biciu córek, w wywoływaniu awantur — niepodobna nie dostrzegać, że Bazylkiewcz jest jednostką, którą powinna się zająć cała gromada. Bo bije on nie tylko Stopnicką. Bije także w nową moralność na wsi.

P. Ch.

Sykowiak z Krępkowa

Broszura Stefana Ignara pt. „Odpowiedź wrogom Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej" zdobyła sobie na wsi taką popularność, że pomaga chłopom w rozpoznawaniu w swym środowisku ukrytych szkodników. Są oni — jak Sykowiak w broszurze Ignara — rozkonspirowywani i piętnowani.

Jak donosi nasz korespondent, sobowtór Sykowiaka dość szeroko „działał" w Krępkowie (pow. Września).

Krępkowicki Sykowiak nazywa się Adam Gierzak. Wcisnął się on na poważne stanowisko społeczne. Trafił do komitetu założycielskiego. Równocześnie utrzymywał najserdeczniejsze stosunki z miejscowymi kułakami — i tak samo, jak oni, nie wywiązywał się z obowiązków wobec Państwa.

Raz na zebraniu gromadzkim omawiano sabotowanie przez kułaków odstaw zboża na punkty skupu. Jeden z małorolnych chłopów zgłosił wniosek, aby wieś poczęła sprawdzać, jak często kułacy wywożą ziemniaki do miasta na sprzedaż wolnorynkową... Bo zaczęli ciągnąć na jarmarki, jak na odpust.

Gierzak rzucił się na wnioskodawcę, jak pantera. Wystąpiwszy w obronie „honoru wsi", zgromił chłopa wobec ogółu i zagroził mu sądem.

I naraz — wszystko trzasło. Krępkowicki Sykowiak został rozkonspirowany i wkrótce trafił do więzienia. Zaraz potem usunięto go oczywiście ze wszystkich stanowisk społecznych. Gierzak, jako działacz „spalił się" więc zupełnie.

Omawiany wypadek świadczy nie tylko o sprycie Sykowiaków. Sygnalizuje on również konieczność wzmożenia czujności opinii publicznej na wsi.

Gierzak, jako społecznik, niemało wyrządził szkód. W komitecie założycielskim, zdołał opóźnić powstanie spółdzielni produkcyjnej. Adwokatując swym kułackim kumotrom, osłaniał ich przed kontrolą. W pracy społecznej niejedną akcję sparaliżował.

Walka z Sykowiakami, Gierzakami i ich poplecznikami jest obywatelskim obowiązkiem każdego uświadomionego chłopa.

M. W.

ŚWIETLICA

Prywatna świetlica

Największy problem gromady Rożental (pow. Nowe Miasto) to — sprawa świetlicy gminnej. Zetempowcy rożentalscy wykorzystują okres zimy dla zajęć kulturalno - oświatowych, wprawdzie mają w swym gronie utalentowanego grafika kol. Jerzego Domeradzkiego, wprawdzie korzystający z pomocy nauczycielstwa zespół pieśni i tańca pod kierownictwem kol. Barbary Kopysteckiej dostał się w lutym do eliminacji wojewódzkich (zajmując 19 miejsce na 26 zespołów), mimo to jednak brak własnego lokalu uniemożliwia chętnym systematyczną pracę, skazuje ich na sporadyczne, „zimowe" wysiłki, które naturalnie nie mogą dać dobrego i trwałego rezultatu. Rożentalskie Koło ZMP od 3 lat interweniuje więc w Prezydium GRN i w Zarządzie Powiatowym ZMP w sprawie świetlicy, ale mimo to pozostaje ona nadal na t.zw. „martwym punkcie". Ten martwy punkt w Rożentalu nazywa się Patalon i jest byłym sklepikarzem.

W domu Patalona znajduje się lokal w sam raz nadający się na świetlicę. Ale dom jest własnością prywatną. Wobec tego, jeśli zetempowcy chcą przeprowadzić próbę swoich występów muszą mu wpłacić 5 zł, a za użycie sali do występów należy uiścić 50 zł. Dodajmy jeszcze, że sprzątanie sali należy do wynajmujących, że paru zetempowców naprawiło w swoim czasie instalację elektryczną w sali Patalona całkowicie bezpłatnie.

Patalon jednak nie jest znów takim strasznym wyzyskiwaczem, jakby ktoś obcy mógł pomyśleć. Żyje w zgodzie z wszystkimi a od czasu do czasu oddaje swoją salę na jakieś zebranie, akademię, uroczystość, zupełnie bezpłatnie i bezinteresownie. W ten sposób nikt w Rożentalu nie widzi bezlitosnego zdziercy. „Nie pobiera on również opłat od karciarzy, którzy czasem zimową porą przychodzą do jego sali na „partyjkę".

Otóż wg litery prawa Patalon może z tą salą robić co mu się żywnie podoba i nikt nie może mu jego prywatnej, drobnej własności odebrać. Może również pozwolić na to, aby — jak to zresztą jest w rzeczywistości — budynek jego niszczał z powodu dziur w dachu, przez które przecieka woda deszczowa tworząc groźne zacieki na suficie.

Czyż nie można jednak było skłonić Patalona drogą perswazji do wydzierżawienia, czy też do jakiejś innej formy przekazania sali do użytku publicznego? Ale Prezydium GRN w Rożentalu nie umiało dotychczas zmusić Patalona do opowiedzenia się: albo z gromadą albo przeciw gromadzie?

Edward Martuszewski

CZYTELNICTWO

Historia jednego wieczoru

W czerwcu br. do jednej z zapadłych wsi powiatu piskiego (woj. olsztyńskie) przyjechali literaci. Na spotkanie z nimi przyszli prawie wszyscy mieszkańcy, niektórzy wprost z pola od pracy. Słuchali chciwie. Kiedy sędziwy poeta warmiński Michał Lengowski zaczął mówić o swym życiu, kiedy mówił



o prześladowaniu polskości — na sali zapanowała taka cisza, że słychać było każdy oddech. Bowiem droga życiowa Michała Lengowskiego jest typowa dla tutejszych Mazurów.

Michał Lengowski pomimo ośmiu krzyżyków na barkach, trzyma się dzielnie; rześkim, chociaż już starczym głosem, mówi swe wiersze. Nie deklamuje, lecz mówi prosto z serca.

Jan Maria Gisges odczytuje ze swego zbiorku kilka ładnych wierszy. Jako ostatni zabiera głos Teodor Goździkiewicz. Rezygnuje z czytania swych utworów. Wychodzi zza stołu zastawionego kwiatami (tak mieszkańcy Trzonek witali literatów), zbliża się do pierwszych rzędów ławek i w jasnych, prostych słowach zaczyna opowiadać barwną historię o kłusowniku, który zarzucił swój „zawód" i zamiast tępić, ochrania zwierzynę w lesie, w którym jest obecnie leśniczym. Goździkiewicz swym opowiadaniem tak podbił serca słuchaczy, że nikt nawet się nie obejrzał, kiedy wybiła godzina jedenasta...

Dyskusji nie było. Zbyt silne było wrażenie tego wieczoru. I jakoś nikt pierwszy nie odważył się odezwać. Nawet ob. Dzidek, który w imieniu wszystkich miał podziękować literatom za przybycie, nie mógł z wrażenia mówić.

— Chciałam zabrać głos — opowiadała mi później jego żona, przodująca kierowniczka biblioteki wiejskiej — ale ze wzruszenia głos mi uwiązł w gardle i łzy miałam w oczach.

Inni myśleli podobnie. Każdy miałby coś do powiedzenia, ale nie powiedział. Bo do dyskusji nikt nie był przygotowany. Dlaczego? I tu wychodzi szydło z worka.

O przyjeździe literatów zawiadomienie przyszło z opóźnieniem. Darmo czytelnicy wertowali katalogi, szukając książek zapowiedzianych autorów. Jeden z nich pojechał aż do Olsztyna i obszedł wszystkie księgarnie; zaszedł nawet do Biblioteki Wojewódzkiej. Znalazł tam w katalogach jedyny egzemplarz książki Goździkiewicza. Niestety, egzemplarz był w czytaniu.

Mieszkańcy Trzonek nie odważyli się podjąć dyskusji, aby nie zrobić przykrości autorom, że nie znają ich książek. Stąd wniosek, że każdy taki wieczór musi być przygotowany i zapowiedziany na czas.

A mieszkańcy innych wsi w powiecie?

— Dlaczego nie przyjadą do nas? Przecież u nas jest spółdzielnia produkcyjna — mówią jedni.

— Jest w naszej wsi świetlica. Z naszej gromady mamy posła w Sejmie — mówią drudzy. I idzie ta „kłótnia o literatów".

Przyrzekłem ludziom, że przyjadą. I mam nadzieję, że literaci wybaczą mi to dane w ich imieniu przyrzeczenie i naprawdę przyjadą.

Oczekujemy ich z niecierpliwością.

Jan Wróblewski

SZTUKA LUDOWA

Wstydliwa sprawa

Leon Necel to artysta-ceramik odznaczony przez Ministerstwo Kultury i Sztuki Srebrnym Krzyżem Zasługi za swą twórczą pracę w dziedzinie ceramiki.

Zajrzyjmy do jego listu. Oto co w nim czytamy: „jestem dumny, że wykonuję tradycyjną sztukę ludową i szkolę młody narybek, który będzie ją podtrzymywać i rozwijać... jednakowoż, nie ma dotychczas należytej opieki nad sztuką ludową".



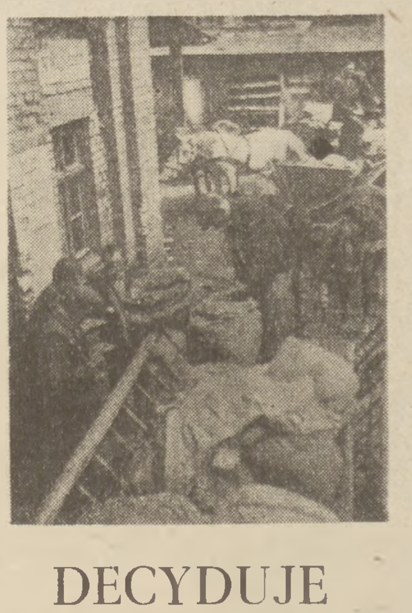
Zastanówmy się, czym wywołane są żale jednego z najbardziej cennych twórców. Najistotniejszym w tej chwili dla ceramiki kaszubskiej problemem jest sprawa rozbudowy zakładu ceramicznego w Chmielnie. Zagadnienie czysto produkcyjne jest wstępem do rozważań o możliwości rozwoju sztuki kaszubskiej. Necel pisze: „W konkursie dla twórców ludowych ani ja, ani moja załoga nie może brać udziału, bo zakład ceramiczny w Chmielnie jest już od 1952 r. nieczynny z powodu rozbudowy... Plan przewidywał ukończenie budowy do końca lutego 1953 r. Dotychczas odremontowano stary budynek zakładu, a pod projektowane, nowe: piec, suszarnię, świetlicę, szatnię itp. zrobiono tylko wykop — i **roboty stanęły..."**

W czasie, kiedy każdy walczy o przedterminowe wykonanie planu na swoim odcinku pracy, w czasie, kiedy rozpoczęliśmy ofensywę w dziedzinie przebudowy kultury i sztuki — właśnie w tym czasie — roboty przy rozbudowie zakładu ceramicznego w Chmielnie stanęły... — Któż temu winien?

Jak wynika z listu Necla — przestój w budowie został spowodowany przez CPLiA w Gdyni, która poleciła rozpoczęcie budowy przed zatwierdzeniem planów sytuacyjnych i kopii przez władze nadrzędne. Trzeba robić nowe plany. Poza tym — kierownictwo prac przy rozbudowie zakładu powierzono prywatnej firmie, która otrzymała na prace wstępne 72 tysiące złotych. Z wyżej wymienionej sumy prywatny przedsiębiorca inż. Heins wydał na różne koszta przy budowie — 30 tysięcy złotych. Z pozostałymi pieniędzmi zginął, nie wypłacając należności ani robotnikom zatrudnionym przy budowie zakładu, ani Leonowi Neclowi sprawującemu główny nadzór nad budową. Nic dziwnego, że rozgoryczony: Necel pyta: „Czy tak się wynagradza za uczciwą pracę ludzi, którzy starają się o podtrzymanie sztuki ludowej?"

Interweniowano już w tej sprawie, ale bez skutku. Czyżby rzeczywiście był to problem nierozwiązany? Wydaje się jednak konieczne, aby zainteresowano się bliżej pracą CPLiA w Gdyni i Kartuzach. Chodzi tu przecież nie tylko o zlikwidowanie opóźnienia w wykonaniu planów budowy zakładu, ale przede wszystkim o położenie kresu rozgoryczeniu i niechęci artystów, co wstrzymuje normalny rozwój sztuki ludowej.

B. L.



DECYDUJE POSTAWA OBYWATELSKA

Gromada Maliszewo jakoś ubiegłego roku wlokła się w ogonie w obowiązkowej dostawie zboża. Radny z tej gromady, sołtys, sekretarz POP powtarzają, że to niby nie ich wina, ale KG — że im maszyny omłotowej nie dał.

Czekajcie koledzy i towarzysze, do trzech razy sztuka! Jest przedżniwne zebranie KG i GRN jednocześnie. Komu dać maszyny omłotowe? — Nam, nam! — woła Bejger z Maliszewa. Sarnocki, sołtys z gromady Okręg, jakoś gębę wykrzywia i językiem smokta. On przecież obiecał chłopom, że im na tym zebraniu maszynę „zrobi". — A teraz co? — woła. — Powiedzą, że bujam.

— Nie, nie. Nam maszynę — woła Bejger. — My tym kombinatorom pokażemy jak się przoduje i kto pierwszy będzie z planem lipcowym w GS.

Gromada Okręg maszyny nie dostała. Jedna poszła do Karnkowa dla małorolnych, druga do Jastrzębia dla działkowiczów nie mających stodół i trzecia do tego Maliszewa, które chciało przodować w tym roku.

Gromada Maliszewo jest największą gromadą w gminie Jastrzębie liczy ponad 150 gospodarstw. Grunta położone są wysoko, nie podmokłe, zatem żniwa przychodzą tam o kilka dni wcześniej od takiej gromady jak Karnkowo i Okręg. W Maliszewie już żyta zwozi się do stodół — na Okręgu poczynają dopiero ciąć.

Ale co to? Za kilka dni na Okręgu w kieratach chodzi po cztery konie; młocarnie konne warczą i to nie w jednym miejscu — tu i tam, a na Maliszewie, mają czas bo mają maszynę omłotową. Młóci jeden, a ten i tamten w chłodzie sobie usiadł. Jeszcze raz ma czas bo maszyna przyjedzie i wymłóci.

Czas nie czeka. Nadszedł termin pierwszych odstaw. Okręg zboże wiezie. Buczkowski, Maćkiewicz, Platkowski, Sarnocki i inni. Już z planu lipcowego wywiązali się. Z Maliszewa wiezie ob. Jan Kalinowski, ma 5 ha, wymiaru miał 9,55 przywiózł 10,25 bo zakrzątnął się, omłócił konną młocarnią i całoroczny plan jednorazowo wypełnił a ponadto, położył na stół przed referentem podatkowym pierwszą ratę podatku gruntowego, choć przypada dopiero na 15-go września.

Ale jak Kalinowski nie uratował honoru swojej gromady tak gromada Okręg uratowała honor całej gminy, gdyż dostawy zbożowe tej gromady pozwoliły się gminie wywiązać w 72 procentach z planu lipcowego.

Ob. Sarnocki przychodzi do gminy i pyta czy jest sołtys z gromady Maliszewo, Bejger. Akurat jest. — No, co sołtysie — mówi Sarnocki — może my się weźmiemy za bary i w podatku gruntowym? I wykłada na stół przed referentem podatkowym równiótkie osiem tysięcy.

A dużo wy macie, obywatelu? — pyta referent sołtysa Bejgera. Bejger się zaczerwienił.

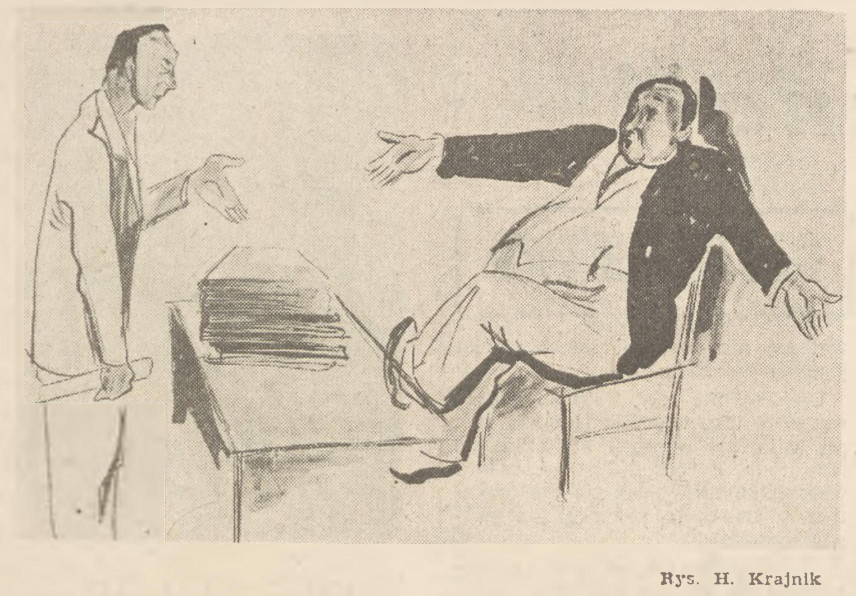
— He — mówi Sarnocki nie na tom ci ja szedł od Lenino po Berlin ażebym się w swojej gromadzie z obowiązkowymi odstawami i podatkiem guzdrał. Zaręczam wam, że przed terminem przyniosę wam pełne podatki do gminy.

Kiranowski z Trzebiegoszczy, Julian Skonieczny z Rumunków Karnkowskich, Eluśkiewicz w Złotopolu, Bolesław Wasielewski w Jastrzębiu tak jak Kalinowski w Maliszewie przodują w swoich gromadach i są wzorami świadomych obywateli, rozumiejących ważność dostawy zboża w terminie i spłacenia podatków przed terminem. Wiedzą, że zboże to jakby krew dla Nowej Huty. Bitwa o terminowe dostawy, to na ich odcinku właściwa walka o pokój, ta walka która zmusiła agresywny imperializm do zaprzestania morderczej wojny w Korei.

Działkowicz z Kolankowa, działkowicz z Jastrzębia i Złotopola, większa część gospodarzy małorolnych, z których się gromada Karnkowo składa, mało i średniorolni Jankowa, Trzebiegoszczy i Konotopia wiozą i będą wieźli zboże na punkty skupu. Nie ich jest wina, że plan lipcowy osiągnął tylko 72 procent — jeszcze zboża z pól zwozili, gdy ich zastał 28 lipiec. Plan poderwali tacy jak Karczewska, Gumińska, bogaczki mające po 40 ha.

Żniwa i skup — bitwa o chleb. Zaszczytna to bitwa dla każdego kto w niej bierze udział!

Seweryn Skulski



Rys. H. Krajnik

JAN HUSZCZA

URBAŃCZYK

W gazecie wojewódzkiej, w rubryce pt. „Głos powiatu ...skiego" ukazała się notatka — „A co z dachem?" Tematem jej była działalność Powiatowego Przedsiębiorstwa Budowlanego i jego dyrektora, ob. Urbańczyka. Anonimowy autor pisał o tym, iż jeszcze przed dwoma tygodniami doprowadzono pod dach ściany Domu Kultury, aż dotąd jednak nie pomyślano o poczynieniu odpowiednich zamówień w tartaku, w leśnictwie itd. Sprawa tedy sufitu, krokwi i w ogóle dachu mogła się odwlec na kilka miesięcy. Właśnie ze względu na brak przezorności u tegoż ob. Urbańczyka.

Notatka, jeśli chodzi o zaatakowanego, istotnie nie mogła być laurem na jego trochę już łysiejącą głowę. Dlatego nie dziwmy się, że dyrektor „Bepu" w gospodzie powiatowego miasta, wbrew zwyczajowi, zjawił się dopiero wtedy, gdy już prawie opustoszała: nie chciał spotykać się ze znajomymi.

Urbańczyk był znany raczej jako człowiek oschły. Krzaczaste brwi nad głęboko osadzonymi oczami jeszcze tę opinię wzmacniały.

Urbańczyk na ogół mało z kim się zadawał. Teraz jednak zamówił „ćwiartkę", dwa piwa i zaprosił kierownika gospody do towarzystwa.

Po paru kieliszkach, kiedy już gospodę chciano zamykać, Urbańczyk rozwinął swoje żale w związku z notatką, nie wiadomo, od kogo pochodzącą:

— Mówią, że pewnych rzeczy nie zauważam... Tere fere kuku! A czy to nie ja zrobiłem awanturę sekretarce za to, że użyła firmowego papieru dla napisania prywatnego listu? Zrobiłem dochodzenie i chciałem ją nawet wylać — ot co!... A czy nie ja wprowadziłem ścisłą kontrolę i oszczędzanie ołówków?... A kto zaoszczędził dwa kg drutu i trzy mtr kw. dykty?! Ot co! Kto zasygnalizował, że Kitlasik niepotrzebnie zużył o jedną listwę więcej przy stawianiu parkanu dla zarządu miejskiego? Ja, Urbańczyk, ot co!... A że nie dopilnowałem dachu... to przecież nie jestem święty i nie rozmienię się na drobne! Święci zresztą także byli ludźmi i rozmaicie tam z nimi bywało... Tylko, że wtedy nie było gazet i nikt ich nie ruszał! Ot co!... Nie, nie rozmienię się na drobne!

Nazajutrz z rana dyrektor „Bepu" myślał o wysłaniu sprostowania. Chciał napisać o blankietowym papierze, kontroli ołówków, dwóch kilogramach drutu i listwie. Miał jednak pewne wątpliwości, czy rzeczywiście łączy to się ze sprawą dachu. — Czy nie lepiej — zastanawiał się — zbadać, kto jest autorem tej notatki, żeby zapobiec podobnym incydentom na przyszłość?

Zaczął od osób obecnych w biurze. Wezwał przede wszystkim sekretarkę. Choć dzień był ciepły i pachnący jaśminami, przecież zamknął okno. Zdobywając się na serdeczność w głosie, zaczął wypytywać:

— Powiedzcie, moja miła Olu: czy wy listy pisujecie?

Dziewczyna stropiła się: czyżby znowu chciał wrócić do tamtego nieszczęsnego listu na firmowym blankiecie?

— Pisuję, jak to wam już wiadomo, ale wyłącznie na papierze nabytym za prywatne pieniądze. I to rzadko...

— A można wiedzieć, do kogo? Bo to widzicie, sprawa tym razem służbowa, nie związana ze zwyczajną ludzką ciekawością...

Ola nie miała tajemnic:

— Do mamusi... Do koleżanki Heli w Olsztynie... Czy mam podać adresy?

— Nie, szczegóły nie grają tu roli, ot co! A jeszcze do kogo?...

— I do... Kazika! — tu Ola poczerwieniała jak udane, dojrzewające jabłuszko, Kazik bowiem był jej narzeczonym.

Ob. Urbańczyk nie ukrywał swego rozczarowania:

— Ech, wy, boże drzewko! Nie o takie listy mi chodzi...

Po jeszcze kilku rozczarowaniach, wezwał księgowego Miśkiewicza. Choć za sobą nie przepadali, nadzwyczaj grzecznie podsunął mu krzesełko i papierosa, zapytał o zdrowie żony i o zdrowie trojga dzieci—ściśle według starszeństwa. Potem, uciekając się do metody zaskoczenia, błyskawicznie wyciągnął spod skoroszytów gazetę z ową wczorajszą, obrysowaną czerwonym ołówkiem, notatką:

— A to co, towarzyszu Miśkiewicz? Odpowiadajcie bez namysłu!

— Gazeta! Wojewódzki organ...

— Ja się was pytam, co to?! — i Urbańczyk tknął palcem w notatkę.

— Czyżbyście nie wiedzieli? — zdziwił się Miśkiewicz. — Przecież o was piszą. I zdaje się, że mają rację...

Urbańczyk przymrużył oczy, wstając z krzesła, ponad stołem przechylił się ku Miśkiewiczowi i po chwili, tłumiąc w sobie pasję, zaczął przedrzeźniać:

— Że mają r—a—c—j—ę???... Mają czy nie mają, to do mnie należy, ot co! Ja żądam, abyście powiedzieli, kto to pisał?!

Miśkiewicz dopiero teraz zrozumiał o co chodzi i natychmiast spoważniał:

— Słuchajcie! To wcale nieważne, kto to pisał, ważne zaś to, że mają rację... Sam was ostrzegałem. I naprawdę, co z tym dachem?

— O tym potem, ja się nie rozerwę! Nie mam teraz na to czasu! A poza tym znowu od was nie otrzymałem sprawozdania o zużyciu ołówków za lipiec...

Największe podejrzenie wzbudzał technik Kulka. Urbańczyk rozumował w taki mniej więcej sposób: „Nie żonaty, a więc lekkomyślny, lubi pracę społeczną. W zeszłym roku chciał chór zorganizować. Dobrze, że temu zapobiegłem, bo by rozmienił się na drobne, ot co! Na zebraniach występował kilka razy z krytyką"...

Zaczął się Kulce bardziej przyglądać. Zauważył, że technik jest posiadaczem wiecznego pióra i notesu. Kto wie, może chce miejsce po nim zająć? Tym młodym to nigdy za wiele! Łazi z notesem i notuje, to jest aż przejrzyste!

Kulkę wezwał dopiero w trzy dni po ukazaniu się anonimowej notatki.

— Wiecie — mówił, siląc się na spokój — ja tu z wami chcę po koleżeńsku porozmawiać. Jak starszy kolega z młodszym, ot co! — Technik słuchał, pozwalając Urbańczykowi, aby się wygadał. — Zdaje się, że chcieliście się przenieść, no nie? Do innego powiatu... Ja wam to mogę ułatwić. Lubię młodych ludzi. Co wy na to?... Mówcie, co wy na to?

— Ja na to? Dziwi mnie to wszystko, co tu od was słyszę. O przeniesieniu myślałem rok temu, ale teraz czy to mało tu mamy roboty? Powiedźcie lepiej, co z tym dachem myślicie zrobić?

— Milczeć! To nie do was należy — krzyknął, zapominając się, Urbańczyk. — Wybyście chcieli w chórze śpiewać! Na drobne rozmieniać się!

Nie wiadomo, jakie zakończenie znalazłaby ta rozmowa, gdyż Kulka nie należał do najpotulniejszych, gdyby nie telefon z Miejskiego Komitetu. Jakby jaka zmowa: pytano o dach w związku z notatką...

Do przeniesienia technika Kulki nie doszło. Znalazło się natomiast mnóstwo przyczyn, żeby Urbańczyk został poważnie zachwiany na swoim stanowisku. A ową notatkę — pt. „A co z dachem?" — jak się okazało, napisał jeden z miejscowych nauczycieli, polonista Winiecki.

Gdybyśmy pisali tę notatkę, znacznie ją rozszerzylibyśmy i inny dalibyśmy jej tytuł. Na przykład: „Kto rozmienia się na drobne i jak to wygląda?"

Jan Huszcza

Książka na wsi

PODCZAS segregowania poczty redakcyjnej przykuł moją uwagę list napisany niewprawnym pismem na dużym arkuszu papieru. Autorem listu był Stanisław Płatek, zamieszkały w gromadzie Widoma, powiatu miechowskiego.

Płatek ma 30 lat. Spracowaną przy gospodarstwie ręką kreśli on zdania chropawe, nie zawsze szczęśliwie zbudowane, nie zawsze zgodne z zasadami pisowni. Myśli jego nagradzają jednak z naddatkiem braki w jego stylu.

Płatek pisze o czterech przeczytanych książkach. „Janko muzykant" Sienkiewicza wywarł na nim silne wrażenie. Ostatnie słowa opowiadania zbudziły w nim myśli, które nasz korespondent tak kończy: „Panowie wywozili pieniądze za granicę i popierali obce talenty — gdy w swojej ojczyźnie marnowali je. Dziś pod opieką rządu ludowego żaden talent się nie zmarnuje".

W „Antku" Płatek z uderzającą przenikliwością wyczuł intencje Prusa: odtworzenie tragedii ówczesnej wsi, Antek — pisze Płatek — chciał się uczyć, chciał budować. Jego nieświadoma miłość do wójtowej odsłoniła przed nim własną nędzę i nicość. Ciemnota i zacofanie dawnej wsi zaprzepaściły jego zdolności .

„Opowieść o prawdziwym człowieku" Polewoja — wywołuje w autorze listu inne myśli. W bohaterze powieści, Meriesjewie, Płatek widzi twardego człowieka, syna narodu, który budując państwo socjalistyczne wśród niebywałych trudności, wychował ludzi mężnych, nieugiętych, godnych swojej wielkiej epoki.

„Powinniśmy, wzorując się na Mieresjewie — zaznacza Płatek — hartować się w pokonywaniu trudności, nie uznawać w naszej pracy rzeczy niemożliwych"...

Czwarta przeczytana przez Płatka książka (broszura Mehringa: „O przetwarzaniu owoców i warzyw") posłużyła mu do usprawnienia swej gospodarki. „Nauczyłem się z niej — stwierdza Płatek — robić przetwory owocowe i warzywne. Ułatwia mi to racjonalne żywienie rodziny i lepsze prowadzenie swego gospodarstwa".

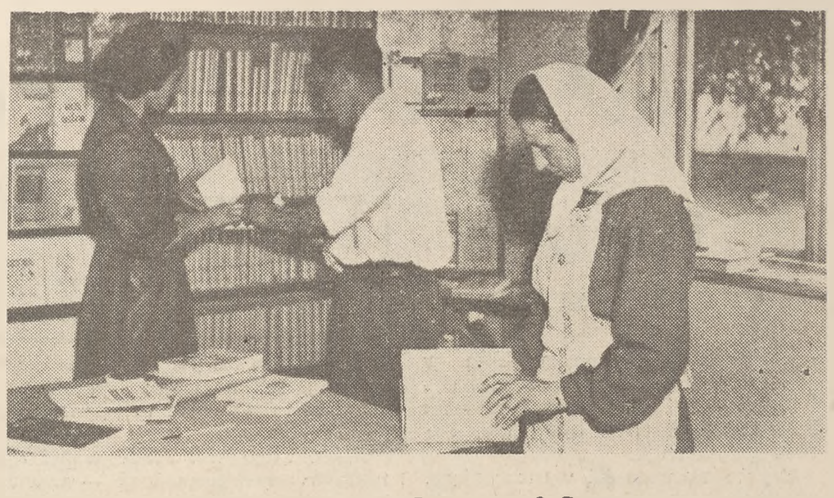
Uwagi Płatka dobitnie świadczą o dociekliwości wiejskiego czytelnika, o jego wrażliwości na społeczne walory książki, o skłonności do konfrontowania jej treści z prawdą naszego czasu.

Nie można nie dostrzec w liście Płatka poważnego dorobku osiągniętego przez państwo ludowe na odcinku upowszechniania kultury na wsi. Wieś polska w naszej dobie nie tylko poznaje dzieła literackie. Umie już ona analizować omawiane w nich zagadnienia i oceniać społeczną wartość pracy pisarza. Chłop polski zrozumiał, że książka w państwie budującym socjalizm ma służyć pogłębianiu wiedzy ludu: o narodzie, klasach społecznych, człowieku.

Nasi pisarze nigdy nie mieli tak zaszczytnego zadania. Na ich twórczość czeka lud, spragniony poznania prawdy o społeczeństwie, o życiu. Zagłębia się on w ich myślach, odczuwa uderzenia ich serc, zatapia się w ich tworzywie cały.

Nadzieje ludu, że książka rozszerzy jego horyzont, wzbogaci go duchowo, uczyni silniejszym — nie mogą być zawiedzione...

Stanisław Ziemak



Pamiętaj!

Sierpniowe dni i wtedy były jasne i pogodne. W naturze wszystko zapowiadało zbliżanie się złotej polskiej jesieni. Pola Mazowsza, Kujaw, Pomorza tchnęły spokojem, choć nad krajem kłębiły się chmury. Zbliżał się wrzesień 1939 roku...

Pochylając się wtedy nad pożniwnym ścierniskiem, wybiegałeś, Chłopie, myślami w dal... A podnosząc oczy ku słońcu, ogarniałeś miłującym sercem ojczystą ziemię, pełen trwogi o jej jutro. Wiedziałeś bowiem, kto stał na jej straży...

Pamiętasz, jak w obliczu niebezpieczeństwa zagrażającego narodom Europy hitlerowskim najazdem, Wielki Kraj Rad zaproponował Polsce zawarcie sojuszu obronnego. — Choć było to dla śmiertelnie zagrożonej Polski zbawienną pomocą, rząd „sanacji moralnej" propozycję odrzucił. Pomimo, że deklarowało ją potężne państwo stu narodów, które już w momencie obejmowania w nim władzy przez lud, wyciągnęło bratnią dłoń do Polski.

Co było przyczyną tego zdradzieckiego aktu przyszłych zbiegów przez most zaleszczycki? — Wierność przymierzu z Hitlerem. Wierność przyjętym przez pachołków faszyzmu zobowiązaniom wobec oprawcy z Berchtesgaden. Pomimo, że już na długo przedtem napisał on w „Mein Kampf":

„...musimy przede wszystkim wyprzeć narody zamieszkujące terytorium obecnej Europy; musimy wyprzeć i wytępić narody słowiańskie: Rosjan, Polaków i Czechów..."

Tworzenie „imperium" niemieckiego faszyzmu było realizowane z rozmachem. Czechosłowacja została podbita. Kłajpeda opanowana. U granic Polski stały w pogotowiu te same czołgi, co niedawno wtaczały się do Pragi...

Co czynił rząd Sławoja w momencie, gdy podbój Polski przez Hitlera był już przesądzony? Do jakich uciekł się środków, by zapobiec zbliżającej się katastrofie?

Rząd ten poinformował przedstawicieli państw obcych, że ...gdyby Związek Radziecki podjął jakiekolwiek kroki w zamiarze „udzielenia Polsce pomocy wojskowej" przed agresją „narodowo - socjalistycznej Rzeszy, to kroki te potraktowane zostaną, jako akt wrogi przeciw suwerenności Rzeczypospolitej".

Klika sanacyjna zrobiła więc wszystko, aby w śmiertelnym starciu z nawałą hitlerowską naród pozostał sam; aby bezbronny żołnierz polski nie był w stanie nawet nadludzkim wysiłkiem odeprzeć napaści na kraj ojczysty Hunnów XX wieku.

Po dwóch tygodniach, na frontach posiekanych zagonami hitlerowskich dywizji pancernych, lała się ofiarna krew zdradzonego polskiego żołnierza. Po wsiach i miastach płonącej w ogniu wojny Rzeczypospolitej, SS „Waffen" swobodnie urządzała „krwawe niedziele", gestapo zaś sporządzało listy dalszych straceń...

...A w tym samym czasie na południu kraju, szosami przecinającymi naddniestrzańskie pagórki, mknęły ku Rumunii lśniące limuzyny. Kryli się w nich przed okiem desperacko bijącego się za Polskę żołnierza: prezydent i wódz naczelny, premier i ministrowie, generałowie — i przewożący ich walizy „dwójkarze"...

Ginęła Ojczyzna. Na długo ważyły się jej losy. W najtragiczniejszym dla narodu dziejowym momencie uciekali z bohatersko walczącego kraju ci, co „wypełnili swą misję" do końca...

Chłopie, pamiętaj o tym!

Kazimierz Jesion



Gazetka gminna

Gdy pęka łańcuszek...

Najbardziej nawet przemyślany łańcuch nadużyć może pęknąć w zgoła nieoczekiwanym dla braci-kumotrów miejscu. Tak się stało niedawno w gromadzie Radzików, gm. Czuryły, powiatu siedleckiego, gdzie ów łańcuszek z trzaskiem pękł, prawda się z krzykiem wysypała, a przecież nie tak dawno temu, bardzo sobie chwalili wygodne życie — sołtys z sekretarzem, naczelnik Ochotniczej Straży Pożarnej z kumotrem Radzichockim i jeszcze kilku innych.

Diabli nadali z piorunami — proszę was! Waliły w lipcu tęgo w czasie przelotnych burz, no i zapaliło się w okolicy. Według kolejki wypadało, żeby koni do beczkowozu dostarczył kum Radzichocki, ale sami zrozumiecie, że nie mógł, skoro akurat wynajął je za 700 złotych bezkonnym. Kum sołtys nakazał więc rekwirunek, trafiły się źrebaki, które najpierw beczkowóz poniosły, a następnie rozniosły. Chałupa się spaliła, Radzichocki zarobił tyle, ile sobie zaplanował, a za uszkodzony sprzęt mieli zapłacić „oporni" chłopi.

Ale chłop — jak źrebak: staje dęba, kiedy mu przychodzi płacić za nie swoje grzechy. Nie będzie płacił i tyle! A niektórzy, tacy jak np. Pniewski i Chendryk, zaproponowali bezczelnie, żeby kumoterska brać opłaciła koszty budowy nowego beczkowozu i reperacji „waserpompy", bo ma z czego. I przytoczyli dowody. Radzichocki zapisał część hektarów na swoje 9-letnie dziecko, sołtys rozdzielił swoje pomiędzy ojca i rodzoną żonę, no a pan sekretarz pomiędzy dobrych znajomych swoich znajomych. Coś niecoś przy tych kombinacjach zaoszczędzili.

— Podatku płacą tyle co po kocie nawozu, ze skupu się ta „biedota" wywiązać nie może, to chociaż sprzęt wyreperuje! — wyrypał Chendryk na zebraniu gromadzkim.

I skończyła się sielanka. Od pożaru zapalił się kumotrom grunt pod nogami. Nie skleją już na powrót misternego łańcuszka krętactw.

JAN WICHURA

(Na podstawie listu mieszkańca Radzikowa. Nazwisko znane Redakcji).

Będzie las

Pamiętacie takie znane powiedzonko — „był las — nie było nas, będzie las — nie będzie nas".

Chcemy wam powiedzieć, że zawdzięczając gajowemu Romanowi Ostrowskiemu z Pliskowoli, pow. Sandomierz, już niedługo będzie można gruntownie to powiedzonko przerobić: nie będzie lasu, a my zostaniemy na łysej polanie.

Oto okoliczności, które tę zmianę mogą w najbliższym czasie spowodować.

Nikt — jak wiadomo drzew w gęstym i rozległym lesie nie liczył — tę oczywistą prawdę przyjął nasz dzielny gajowy za podstawę do szerokiej działalności naukowo-badawczej. — Ja będę pierwszy, który ustali ile to drzew może liczyć przyzwoity las.

Jasne, że takiego rachunku niesposób dokonać w pojedynkę; dobrał sobie tedy Ostrowski cały sztab badaczy. Szlachetny trud, pasja poznania prawdy — opłaciły się sowicie.

Dla przykładu: namordował się Jan Dziuba z Pliskowoli z przeliczeniem kilkudziesięciu sosen, ale stawia sobie za to piękną oborę. Tak samo Józef Wieczorek syn Wojciecha i Józef Seremak. Gil Stanisław, także męczennik nauki, wykańcza już dom, Pargieła Andrzej będzie się lada dzień budował. Robota postępuje szybko naprzód, kilkaset okrąglaków już w zbożnym trudzie policzyli. Ostrowski w hrabiego się nie bawi, sam bierze udział w liczeniu. Na dowód przytaczamy fakt, że sobie stawia piękny dom w Osieku. Nie należy tego faktu rozumieć dosłownie. Stawiają mu pracownicy leśni, wynagradzani z listy państwowej. Nie należy również sądzić, że Ostrowski orze lub sieje. On tylko zbiera ziarna dorodnej sandomierskiej pszenicy. Nazbierał tyle, jakby ze 20 ha pszenicą obsiał. Tymczasem wdzięczni i wyżej wymienieni chłopi nasypali mu dwie stodoły ziarna za to, że ich dopuścił do wielkiego dzieła liczenia drzew w lesie.

Należy przypuszczać, że już niedługo będzie można ogłosić konkretne wyniki pracy. Pierwszą instytucją, która sobie te wyniki na swoje konto zapisze będzie zapewne Dyrekcja Okręgowa Lasów Państwowych w Kielcach, już dziś chyba dumna z Ostrowskiego, skoro mu w pracy nie przeszkadza.

No a lasu — jak się na początku rzekło — nie będzie.

JERZY SMUTNY

(Na podstawie listu mieszkańca Pliskowoli. Nazwisko znane Redakcji).

Rozprawa z Urbanem

Czytelników naszej Gazetki Gminnej prosimy na rozprawę. Będziemy sądzić postępowanie ob. Stanisława Urbana z Pierzyc, pow. Dzierżoniów.

Najpierw okoliczności sprawy:

Urban osiadł na gospodarstwie, podzielonym pomiędzy trzech właścicieli. Jednym z nich był on sam, dwojgiem pozostałych — wdowa Maria Raczek i jej syn.

Do ostanich miesięcy wszystko było w porządku. Urban obrabiał swoją część pola, tuczył świnki w swoim chlewie, zrywał owoce w przydzielonej mu części sadu.

Zarówno Raczkowa, jak i Urban zgadzają się co do tego, że nieporozumienia wywołał fakt, iż wdowa z synem, odbywającym służbę wojskową, wstąpili do spółdzielni produkcyjnej. Ale dalej, niestety, zgody już nie ma.

Urban powiada: „Trza kobietę do wspólnego przyzwyczaić". I najpierw zerwał jej wszystkie czereśnie, potem wiśnie, a ostatnio i jabłka. Dalej wprowadził swoje świnie do chlewu Raczkowej, a krowę do jej obory. Jak wspólnota to wspólnota!

Kiedy wdowa zgłasza pretensje do swojej części sadu, Urban tłumaczy jej, że się musi przełamać, zapomnieć o wszelkiej własności. Aby lepiej Raczkową wychować, nie żałuje pieniędzy na wódkę dla sołtysa i przewodniczącego PRN, którzy pomagają mu w wyzbyciu się przez Raczkową przeżytków posiadacza.

W planie „szkoleniowym" Urbana na najbliższy okres znajdziemy: uspołecznienie krowy Raczkowej, a następnie wyzucie wdowy z własności, czyli wyrzucenie z gospodarki.

Ot i cała sprawa! Urban uważa, że jest na drodze do zyskania uznania. My zaś jesteśmy zdania, że uprawia wrogą robotę, skierowaną celowo przeciwko członkowi spółdzielni produkcyjnej. Dlatego udzielamy mu surowej nagany i przestrzegamy przed dalszą „opieką" nad Raczkową.

Zarząd spółdzielni skazujemy na kupno dobrych okularów, by lepiej mógł dostrzec, co się wokół niego dzieje i należycie bronił swoich członków.

Sprawiedliwy wyrok, prawda?

JAN BIEGAŁA

(Na podstawie listu Marii Raczek)

Kronika kulturalna

Zarząd Wojewódzki Związku Samopomocy Chłopskiej w Szczecinie rozpoczął wydawanie miesięcznego biuletynu pt. „Życie kulturalne wsi". W biuletynie zamieszczane są uwagi o pracy świetlic gromadzkich, notatki o amatorskiej twórczości ludowej, sprawozdania bibliotek gminnych o czytelnictwie na wsi, konkursy, komunikaty itp.

Wydawnictwo ZSCh w Szczecinie zasługuje na uwagę. Biuletyn jednak bardzo by zyskał, gdyby znalazły się w nim krótkie reportaże z życia kulturalnego w gromadach.

Na wsi szczecińskiej na pewno nie brak przodowników czytelnictwa, pisarzy chłopskich i poetów, działaczy na polu upowszechniania kultury. Zapoznawanie społeczeństwa z ich pracą i drogami ich twórczych poszukiwań — wzbogaciłoby treść biuletynu i uczyniło go bardzo pożytecznym wydawnictwem w upowszechnianiu kultury.

OGÓLNE uznanie i szeroką popularność wśród miejscowej ludności, sąsiednich spółdzielni produkcyjnych i PGR-ów uzyskał Teatr Lalek, zorganizowany przez wiejską młodzież z Gołaszyna w pow. rawickim przy tamtejszym Domu Kultury.

Pomysłowi zetempowcy z Gołaszyna, razem z młodzieżą niezorganizowaną, skupioną w amatorskim zespole Teatru Lalek, sami z zapałem wybudowali swój teatrzyk, ze sceną i zapadnią, sami zainstalowali elektryczną aparaturę Entuzjastyczne brawa nagrodziły zespół już po pierwszym występie, na którym pokazano znaną, humorystyczną komedyjkę Goethego — ostrą satyrę na ustrój feudalny — „Lisa Przecherę".

Obecnie zespół wystawia sztukę współczesną pt.: „Nowa szata króla".

Członkowie zespołu: Melania Pytlakówna, Felicja Przybyła, Władysław Skrzypczak i Stanisław Kosmalski — to zarazem artyści, technicy i budowniczowie psujących się często lalek.

Głównym reżyserem jest energiczna Janina Kirecka. Zwołuje ona zespół przed każdym występem na naradę, w celu wspólnego omówienia błędów i usprawnienia całości.

Zespołowi Teatru Lalek w Gołaszynie życzymy dalszych sukcesów. Doświadczenia jego to bardzo cenny wzór i przykład dla nowych tego rodzaju zespołów, których z pewnością będziemy mieć coraz więcej.

*

RADIOWĘZEŁ w Aleksandrowie Kujawskim — to dobry informator i czynnik mobilizujący chłopów, niezawodny pomocnik Powiatowej i Gminnych Rad Narodowych.

Energiczny komitet redakcyjny radiowęzła zapewnił sobie współpracę z 27 stałymi korespondentami, którzy są systematycznie szkoleni. Na listach opiera się program nadawanych codziennie audycji radiowęzła. W programie tym omawia się konkretne wydarzenia w terenie, mówi się o osiągnięciach gospodarczych i kulturalnych powiatu.

Radiowęzeł swoimi mobilizującymi audycjami w znacznym stopniu przyczynił się do sprawnego zorganizowania akcji żniwno-omłotowej.

Szczególną popularnością cieszy się stała audycja satyryczno-krytyczna „Zewsząd o wszystkim". Piętnuje ona i demaskuje braki i niedociągnięcia powiatu, atakuje wszelkiego rodzaju brakoroбów, bumelantów, biurokratów, kułaków itp.

O skuteczności audycji świadczą napływające do radiowęzła listy o charakterze interwencyjnym, które załatwia komitet przy pomocy Referatu Skarg i Zażaleń Prezydium Powiatowej Rady Narodowej.

Niekiedy zdarzają się wypadki, że obrażony kułak prześle do radiowęzła list z pogróżkami, ale przedtem pośpiesznie wykona obowiązkowe dostawy. Oprócz tego radiowęzeł w Aleksandrowie Kujawskim pomaga radiowęzłom gminnym: w Radziejowie, Osięcinach, Piotrkowie Kujawskim, Dobrem i innych.

Dobrze zorganizowana praca komitetu redakcyjnego radiowęzła w Aleksandrowie Kujawskim niech będzie wzorem i przykładem dla innych komitetów redakcyjnych.

*

PAŃSTWOWE Wydawnictwo Rolniczo-Leśne wraz ze Związkiem Polskich Artystów Fotografików ogłosiło ostatnio konkurs fotograficzny pt. „Współczesna wieś polska w fotografii".

Nadsyłane prace winny obejmować takie tematy, jak: rozwój spółdzielni produkcyjnych, PGR-ów i POM-ów, zdobycze techniczne naszego rolnictwa, rozwój produkcji roślinnej, hodowli, doświadczalnictwa, ruch miczurinowski, życie polityczne i kulturalne wsi współczesnej, zagadnienia opieki zdrowotnej, życia rodziny wiejskiej itp.

Prace można nadsyłać w dwóch terminach: w pierwszym — do dnia 1 października br., w drugim do 30 maja 1954 roku. Autorzy najlepszych prac otrzymają cenne nagrody pieniężne.

Zachęcamy wszystkich fotografujących oraz zespoły fotografików do wzięcia udziału w tak ciekawym i bardzo pożytecznym konkursie.

*

ŚWIETLICOWCY! Aktywiści ZSCh i ZMP! Członkinie kół gospodyń! Komitety redakcyjne gazetek gromadzkich i radiowęzłów!

Wszyscy dobrze zdajemy sobie sprawę z plagi, jaką jest pijaństwo. Ile przynosi ono szkody naszym rodzinom, społeczeństwu i krajowi. Wódka rujnuje ludzi moralnie i materialnie, opóźnia socjalistyczne budownictwo, hamuje nasz marsz do lepszego jutra. Musimy wypowiedzieć pijaństwu zdecydowaną walkę. Jedną z form tej walki stanowi ogłoszony ostatnio konkurs Zarządu Głównego ZSCh.

Oto jego warunki:

1) opracować w okresie trwania konkursu co najmniej dwie gazetki, omawiające walkę z alkoholizmem i jej metody;

2) uprzystępnić obejrzenie gazetek mieszkańcom własnej i okolicznych gromad;

3) zorganizować w świetlicy wieczór dyskusyjny, poświęcony walce z alkoholizmem;

4) gazetki i protokół z wieczoru dyskusyjnego, podpisany przez kierownika świetlicy, należy przesłać w terminie od 15 — 20 stycznia 1954 roku do Zarządu Powiatowego ZSCh.

Dla autorów najlepszych gazetek przeznaczono nagrody:

Pierwsza 5.000 zł, dwie drugie po 2.000 zł, pięć nagród trzecich po 1.000 zł, dziesięć nagród czwartych po 500 zł, dwadzieścia nagród piątych po 300 zł i 50 nagród szóstych po 60 zł.

Wszyscy przystępujemy do konkursu! Termin jego trwania — od 1 września 1953 roku do 20 stycznia 1954 roku.

*

W RASZKOWIE, w pow. łańcuckim czynny jest 250-osobowy obóz werbunkowo-artystyczny, zorganizowany przez Okręgową Dyrekcję Szkolenia Zawodowego z Poznania. Oprócz pracy szkoleniowej na obozie, utalentowani recytatorzy, muzycy i tancerze wyjeżdżają do okolicznych wiosek z występami.

Entuzjastyczne oklaski otrzymali młodzi artyści w gromadach: Birczy, Czudcu, Haczowie i Baligrodzie. Niektórzy oglądali występy artystyczne dopiero po raz pierwszy. Szczególne uznanie uzyskał przebywający na obozie chór, wyróżniony na centralnych eliminacjach przedfestiwalowych. Poznaniacy wydatnie pomogli chłopom w akcji żniwnej. Specjalna grupa remontowa maszyn rolniczych, zorganizowana na obozie — wyremontowała wiele żniwiarek i kosiarek. Zespół przeprowadza także werbunek do szkół górniczo-hutniczych.

Oew.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 8-00-81.
Adres redakcji: Warszawa, pl. Starynkiewicza nr 7.
Telefony: Red. Nacz. 863-86. Redakcji 87061, wewnętrzny 5, 73, 8.
Warunki prenumeraty:
mies. — 4.60 zł, kwartalnie — 13,80 zł, półrocznie — 27,60 zł, rocznie — 55,20 zł.
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.
RSW „PRASA", Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. 4-B-18752